№ 17. Warszawa, dnia 24 (12) Kwietnia 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

MOWA GLADSTONA.

Nie wątpię, że wygłoszona w parlamencie angielskim przez Gladstona mowa znajdzie szerokie w prasie wszechświatowej, a zatem i w naszej, echo. Jest ona wielkiej doniosłości zdarzeniem politycznem. Dzień 8 kwietnia r. 1886 zapisał się wyraźniej, aniżeli wiele krwią podlanych faktów, na kartach dziejów Europy. Gladston objawił się jako mąż stanu, posiadający rzadki w mężach stanu przymiot: rozumienia historyi. W tym względzie nie wyrównywa mu w chwili obecnej żaden z zagranicznych jego kolegów, powodujących się w ogóle polityką nie konieczności dziejowej, ale podstawianych zamiast niej widoków okolicznościowych, nasuwających się w ten mniej więcej sposób, jak szczątki okrętu rozbitego, które morze od czasu do czasu mieszkańcom nadbrzeżnym na łup rzuca. O tym mężu stanu, który dziś Anglii przewodniczy i zapewne przewodniczyć jej długo nie będzie, powiedzieć można: *Ecce homo!*

O tak! W ogóle na drodze pojęć realistycznych i utylitarnych, jakie w naszym antyromantyzmie obecnym przeważają, spostrzegać się daje błąd jeden główny, mianowicie: gonienie za korzyścią niezwłoczną. Błąd ten popełniają powszechnie nowicyusze w spekulacyi, którzy, wkładając w przedsiębiorstwo kapitał, pragną, ażeby zyski natychmiastowe go pokryły. Błąd ów miał i ma w działalności politycznej zastosowanie szerokie. Widnieje on szczególnie tam, gdzie zadania polityczne rozstrzygają się zapomocą wojen. Naprzykład: Austrya wyniszczyła się na wojny napoleońskie, z zimną krwią, ze swobodą umysłu i z czystem sumieniem przysądziła sobie pokrycie nakładów, zabierając w r. 1815 Lombardyę i Wenecyę. Co to było z racyi tej chwalby! — ile deklamacyj na temat mądrości stanu, powagi i honoru! — honoru, który pozwolił cudzą własność zabrać, ale nie pozwalał jej oddać. Następstwa zreperowały ten honorowy obłęd. Zabrana w r. 1815 Lombardya i Wenecya wyrzuciła Austryę w r. 1866 ze związku niemieckiego. Nie nauczyło to jej atoli rozumu, albowiem we dwanaście lat później znów monarchia ta, mądrością dyplomatyczną wsławiona, przysądziła sobie, z równąż jak w roku 1815 zimną krwią, swobodą umysłu i czystem sumieniem Bośnię i Hercegowinę. Fakty, odnoszące się do tego rodzaju mądrości dyplomatycznej, snują się ciągiem jednym przez historyę całą. Dziwny stąd powstaje rozbrat pomiędzy moralnością prywatną a moralnością publiczną. Pomijamy to jednak. Mądrość owa pod innym jeszcze względem na uwagę zasługuje — pod tym mianowicie, że dzięki jej niemożliwą jest trwałość budowli politycznych. Ile też to ona państw, hegomonij i równowag politycznych natworzyła i zburzyła! W oczach naszych punkt ciężkości i równowagi politycznej przesuwał się od państwa do państwa, niby paciorki na różańcu. Zajmowało go mocarstwo dziś to, jutro inne, a każde, w chwili, kiedy nań wchodziło, otaczało się dymami wywodów rozumowych, których treść i sens tłomaczy się zapomocą tego bardzo trywialnego przysłowia: „Nie ma, jak ja i....." Wywodami tego rodzaju do znudzenia karmi patryotyzm niemiecki od lat kilkunastu książe Bismark. Przed nim słyszeliśmy je w innych, a przedtem jeszcze w innych ustach. Samochwalstwo brzmi tak długo, póki sprzyja powodzenie, któremu regularnie coś z czasem w poprzek staje. Pokazuje się w końcu, że wkluczony w nie został rak, co je toczył i stoczył. W jednem mocarstwie działalność jego była szybszą, w drugiem powolniejszą, każde atoli w chwili potężnienia wszczepiało sobie chorobę, która je w rezultacie ostatecznym do zaniku doprowadziła. Hiszpania, państwo Ottomańskie, jak potężnemi znajdujemy je w opowiadaniach o przeszłości europejskiej! W co się one obecnie obróciły?... A dla czego?... Przyczyny wiadome nam są dziś dokładnie; uznają je nawet dzisiejsi mężowie stanu hiszpańscy i tureccy, tak jak mężowie stanu austryaccy uznali, że poprzednicy ich, co monarchii austryackiej Lombardo-Wenecyę przysądzili, popełnili niedorzeczność kolosalną. Ale — niechby kto spróbował był od panów tych wydobyć uznanie wówczas, kiedy mocarstwa owe hodowały we wnętrznościach swoich raki, co je toczyły! Próby tego rodzaju uchodziły za zbrodnie stanu i — kto zliczy pale, szubienice, rusztowania, place rozstrzelań, więzienia i inne sposoby odpowiedzi, jakich ciekawym udzielano!... Ciekawość do prób gorzko się probującym opłacała; gdyby nie ona jednak — nie moglibyśmy ani racyi stanu mądrości zaprzeczać, ani dyagnozy historycznej robić, ani też wystąpienia Gladstona w d. 8 kwietnia r. b. podkreślać. Zdobył się on na to, na co się nie zdobył żaden z jego poprzedników, ani żaden ze spółcześników: wyznał popełniony przez Anglię błąd — błąd zarazem historyczny i polityczny.

Błąd historyczny — punkt to ważny, pod względem zwłaszcza naukowym, wobec szerzonego przez pisujących historyę publicystów pojęcia o nieomylności historycznej. Publicyści są istną nauki plagą, będąc obok tego rodzajem miechów, co nadymają mężów stanu. Miechy te w Anglii pracują obecnie ruchem gwałtownie przyspieszonym i spotęgowanym w obronie nieomylności historycznej. Wyjątek we względzie tym stanowią jedne *Daily News*, stając po stronie odważnego męża stanu — pierwszego ponoś w dziejach, co odwagę tego rodzaju okazał — który o nieomylności tej pojęcie zachwiał.

Rzecz sama wydaje się prosta. Nieomylność na polu faktów dziejowych nie istnieje bardziej, niż we wszystkiem, co ludzie czynią. Historya polityczna jest dziełem ludzkiem, a zatem być w niej musi błędów pełno, popełnionych dlatego jeno, że się po temu okazya nadarzyła. *Ce qui est bon à prendre, n'est bon à rejeter.* Wedle recepty tej chwyta się wszystko, co pod rękę wpada, bez względu na to, że się jednakowo połyka i jajko na miękko i kawałek kamienia, z których pierwsze podlega, drugi nie podlega procesowi asymilacyjnemu. Dzięki regule onej siedem wieków temu Anglia zabrała Irlandyę — popełniła błąd, który się dokonał na polu historyi, który przez wieków siedem zawadzał jak kamień w żołądku i do którego mądrość stanu, zamiast przyznać się i środki odpowiednie zastosować, stosowała wszystkie pospolicie w razach podobnych używane sposoby,

celem zanglizowania irlandczyków. I nie żartowała. „Ausrotterstwo“ angielskie wypalało irlandyzm żelazem do białości zagrzanem i, po szeregu długim takich operacyj, dokonywanych w ciągu wieków, liczyć mogło na spokojne owoców asymilacyjnych spożywanie. Nie zasłużyłoż na to? Rzućmy okiem na przebieg wypadków. Do zaboru za pretekst posłużył Anglii bezrząd irlandzki. Postawienie pierwszego kroku pociągnęło za sobą następstwa, które się wysnuwały jedne z drugich, wywoływane tego rodzaju niewdzięcznością irlandczyków, co to się na dobrodziejstwach poznawać, ani cenić ich nie umie, piastując w duszy nadzieje i utopie szalone. Anglia dobrodziejstwowała ich na wszystkie sposoby — religijne, narodowe, porządkowe, ekonomiczne, społeczne, eh — i krnąbrnych, albo niedosyć powolnych karać umiała z surowością, przekazującą grozę z pokolenia na pokolenie. Po tem wszystkiem miała — zdaje się — prawo przy nieomylności historycznej upierać się do końca, zwłaszcza że — bądź co bądź — siła po jej znajduje się stronie. I w takich to warunkach prezydent gabinetu wystąpił przeciwko prawom wyjątkowym, mianując je szkodliwemi dla interesów kraju, przeciwnemi zarówno rozumowi politycznemu, jakoteż moralności.

Pierwszy to raz sprawa tego rodzaju w sposób ten i w duchu takim postawioną została przez naczelnika gabinetu.

Cóż to znaczy? — albo raczej: skąd się to wzięło? Powszechnie ludziom na stanowisku mężów stanu głowa się zawraca. Z wyżyny nie widzą jasno. Przedmioty w oczach się im mienią, linie krzywią; jeżeli który się czego uczył kiedy, zapomina, lub rozumie na opak. Śmiertelnicy zwyczajni, zostawszy mężami stanu, ludzie zdolni i światli, zmieniają się w maniaków. Pochodzi to stąd, że z przekonaniami rozbrat biorą i busolę tracą. Gladstone ustrzegł się tego. Jakim dojrzał, takim pozostał; mąż stanu nie zabił w nim człowieka rozumnego, pojmującego wymogi postępu. Zabór Irlandyi uchodzić mógł dawniej, kiedy nieznanem było pojęcie praw człowieczych. Pojęcie to od wieku XII rozwinęło się, utrwaliło i wprowadziło odmienny, aniżeli dawniej, pomiędzy państwem a jego składowemi częściami stosunek. Uznaną została autonomia osobistości człowieczej i wynikające z niej następstwa. Wolność osobista pociąga za sobą wolność narodu — z przyznania przeto przez konstytucyę angielską swobody irlandczykowi wypływa swoboda Irlandyi. Z przeciwników Gladstona żaden nie zaprzeczył temu, ale też żaden drogą konsekwencyi nie doszedł do tego wyniku logicznego, że narodowi krzywdzonemu należy się wynagrodzenie krzywd. Coś podobnego mężowie stanu rzeczywiści uważają, jako rzecz, będącą na miejscu w książkach jeno. Czyny dokonane wydają się im wyrokami nieodwołalnymi i tego rozumieć nie chcą, że właśnie protestacya przeciwko czynom dokonanym — przeciwko błędom polityczno-społecznym w przeszłości popełnionym — stanowi obecnie dźwignię ruchów umysłowych i faktycznych bardzo ważnych i wcale groźnych. Jestże praktyczniejszy na zażegnanie ruchów tych sposób nad usunięcie przyczyn zapomocą naprawienia błędów? To takie proste i jasne.

Prasa w ogóle, nie angielska nawet, z niedowierzaniem wygłoszone przez Gladstona zasady przyjęła. Nie dziw. To takie w ustach męża stanu nowe! Powodem niedowierzania jest jeszcze i to, że mowa Gladstona nastąpiła niezwłocznie po mowie księcia Bismarka, który wręcz przeciwne w odniesieniu już nietylko do Irlandyi, ale i irlandczyków pruskich zasady wygłosił, powołując się na wyrazy „przyjaciela swego, Gladstona: *Hands off!*“ Przyjaciel odpowiedział przyjacielowi. Mowa prezydenta gabinetu angielskiego, o ile odnosi się do wskazówek historyi, do filozofii politycznej, do zasad sprawiedliwości i prawa, do reguł interesu dobrze zrozumianego, do wszystkiego, słowem, co stanowi jej podkład rozumowy, jest, punkt po punkcie prawie, zbijaniem, krytyką doktryny kanclerza żelaznego. W słowie każdem zaprzeczenie i dowód przeciwny. Co jeden wali, to drugi buduje; do czego jeden nastawia się „krwią i żelazem,“ do tego drugi zwraca się z wyciągniętą przyjaźnie dłonią; jeden irlandczyków swoich skazuje na zatratę, drugi swoich w tymże interesie powołuje do życia. Nie dziw przeto, że prasa, postawiona pomiędzy dwiema tak odmiennemi dwóch „przyjaciół,“ mężów stanu znakomitych, teoryami, znajduje się w kłopocie, który z nich ma racyę: czy ten, co pcha ludzkość wstecz? — czy ten, co jej drogę naprzód wskazuje?.. Warto by mowę księcia Bismarka z dnia 8 stycznia i wypowiedzianą w trzy miesiące później mowę Gladstona razem, w książce osobnej, jednę po drugiej, na wieczną rzeczy pamiątkę, wydrukować. Jeżeli jeden z nich ma słuszność, drugi jej nie ma; jeżeli jeden mówi prawdę, drugi mówi nieprawdę. Taki pomiędzy nimi zachodzi stosunek — który tem większego nabiera znaczenia, że nosi na sobie piętno urzędowe, pod jakiem występuje bój o zasady, przenikający wydmuchaną przez uczonych niemieckich na rzecz silniejszego walkę o byt. Według Gladstona — i to stanowi oś wywodów jego — słabsi mają także samo, jak mocniejsi, do bytu prawo. Według niego niezależność Irlandyi nietylko Anglii nie przeszkadza, ale jej pomaga. Ani Windhorst, ani żaden z oponentów w parlamencie pruskim, nie odpowiedział Bismarkowi tak dosadnie i dowodnie, jak „przyjaciel“ i kolega jego angielski.

T. T. Jeż.

WYBORY KRAKOWSKIE.

19-go kwietnia.

D. 17 b. m. ukończone zostały w Krakowie wybory do Rady państwa, w celu obsadzenia krzesła, opróżnionego po Maksymilianie Zatorskim. Kampania wyborcza była jedną z najzaciętszych, jakie Kraków w ogóle pamięta, a przebieg jej cały ujawnił wiele rzeczy bardzo dziwnych i bardzo niespodziewanych. Parlamentarnym zwyczajem zebrano najpierw z grona obywateli komitet t. z. przedwyborczy, który przewodniczyć będzie sprawie, a więc przedewszystkiem rozstrząsać wartość przedstawionych kandydatur i zalecić uznane za najgodniejsze. Dość słabo, a przynajmniej sporadycznie tylko rozkwitające tam życie publiczne przyczynia się tego, że wybory nie dość znaczenia przywiązują do składu tego komitetu: potrzeba wyznaczyć aż 60 ludzi, którym niby nie nadaje się żadnej władzy istotnej, którym w potrzebie można się sprzeciwić, stąd wielu sobie lekceważy tę czynność, z drugiej zaś strony mało kto ma czas i chęć do układania własnej listy o kilkudziesięciu członkach. Nie wielu też obywateli spełnia tę powinność, a nieliczna garstka ludzi przy-

---

POWIEŚĆ.

DWUGŁOS MIŁOŚCI.

Fantazya.

Wkrótce strumienie deszczu pozaciekały we wszystkie szpary, ponapełniały każde wgięcie, każde wydrążenie ziemi, która wygładziwszy swe dołki, bruzdy i zmarszczki, zaszkliła się gładką powierzchnią. Nawet cienkie wężyki potoków, wijące się w głębokich rowach, nabrzmiały aż do brzegów a na skrętach i spadkach najeżyły swe płowe, szumiące grzywy.

Wreszcie woda, buchająca z chmury, zaczęła podrywać lepianki i domy. Przerażeni ich mieszkańcy wybiegli pół-nadzy i z nieprzetartym snem na oczach, śród szumu, plusku i ciemności, tułali się bez drogi i celu, uciekając od śladów, które za sobą odcisnęli i które woda zalewała. Ogólna trwoga oswoiła i zobojętniła wzajemnie wszystkich. Jagnię ocierało się o lwa, zbrodniarz szedł obok męczennika, ladacznica — obok siostry miłosierdzia. Z najrozmitszych istot tworzyły się i rozprzęgały przypadkowe grupy. Nikt nie wiedział, dokąd dąży.

Burza, spastwiwszy się nad ziemią, nieco ochłonęła. Przestała przynajmniej pluć spienioną ulewą, chociaż nie ściągnęła z niebios ponurej opony, za którą grzmiały ciągle jej groźby.

* *

Nad wyniosłem urwiskiem, pod którem przebiegały rozczochrane fale, stał mężczyzna młody w bluzie, przepasanej sznurem. Szerokie wyloty głęboko obnażały mu ręce, a odwinięty kołnierz — szyję, na której odchyliła się bladą twarzą ku niebu nieruchoma głowa. Usta miał nieco otwarte i gorączkowym oddechem przypalone, nozdrza mu drgały, brwi zsunęły się surowo nad oczami, w których odbijała się łuna dogasającego pożaru duszy. Czoło jego lśniło się taką białością, że go mroki przyćmić nie mogły.

Stał długo niemy, wreszcie szepnął cicho:

— Czy prócz ziemi niema w przestrzeni innego przytułku dla człowieka...

Opuścił głowę, powiódł znużonym wzrokiem wokoło siebie i zatrzymał go na jakimś białym owalu ludzkiej twarzy, którego cienie Nocy również zatrzeć nie zdołały.

Błyskawica zygzakiem rozpruła chmurę i rozjaśniła cały widnokrąg.

Przy jej świetle mężczyzna ujrzał nieopodal młodą kobietę, siedzącą na odłamie skały, z zaplecionemi smutnie rękami i patrzącą w nurt potoku, który kipiał pod jej stopami. Smukłą kibić otulała biała tiunika, zaginająca się wdzięcznie po łukach jej ciała, które z pod osłony przebijało się całem bogactwem swych kształtów i linij. Bujne piersi falowały lekkim ruchem, włosy rozbiegły się w puklach po szyi i muskały ją łagodnie. Nad twarzą tak przecudnego wykroju, jaki tylko geniusz narysować a natura stworzyć zdolna, pastwił się okrutny smutek, który skamienił jej oczy w dwa martwe szafiry, nieładnie promieni stłumionego życia. Czy pożądliwy nurt wabił ją w swe zimne objęcia?

Gdy przy ogniu błyskawicy dostrzegła mężczyznę, w oczach jej zamigotał lotny uśmiech. Wstała i podeszła ku niemu.

— Urokiem padłeś mi w serce — rzekła do niego; pozwól mi zginąć żyć z tobą.

— Kto jesteś, piękna?

— Kobietą, którą wicher oderwał od ziemi i miota po niej.

— On panuje nad nami a ślubów nie daje zakochanym, lecz łączy przypadkiem tych, których razem w dłoń swą pochwyci i zgniecie lub rzuci.

— Mylisz się, on tylko jednej miłości potargać nie może. Czyś jej jarzących się węzłów nie widział na tle tej czarnej otchłani, w którą wzrok ciskałeś?

— Alboż mnie kochasz?

chodzi, trzymając w ręku dwie listy gotowe, już drukowane, a z tych jednę lub drugą oddaje przy głosowaniu. Skoro komitet został już złożony, kilku wytrawnych przewódców od razu może przeciągnąć na swą stronę jego członków chwiejnych albo obojętnych, dla pozoru bezstronności jedynie wprowadzonych. Konserwatyści od dawna poznali się na wartości stanowisk w tem gronie; zawsze wszelkiemi siłami starają się o opanowanie go, a w ciągu lat zdołali nadać mu znaczenie olbrzymie, wagę trybunału, po za którym nic uczciwego, nic obywatelskiego istnieć przez czas wyborów nie może, kto sprzeciwi się komitetowi, kto go pominie — ten zdrajca, pokątny agitator, człowiek złej wiary. Po za nim nie ma zbawienia politycznego. Tym razem, jak niemal zawsze, żywioł stańczykowski zawładnął komitetem. Przewodniczącym obrano prof. dra Zolla. Rozpoczęto zgłaszać kandydatury. Ogromna przewaga panów pola — stańczyków, popartych przez żywioły konserwatywne, sprawiała, że prawie zwykle o mandat ważyli się ubiegać tylko ludzie lojalni, pokrewnej, umiarkowanej barwy, z których wszakże jeden więcej od współzawodników doznawał opieki i posłem zostawał; a gdyby ten cudem był przepadł, klęska dotknęłaby raczej jego ambicyę, niż stronnictwo spokojne o prowadzenie się niegroźnego zwycięzcy. Tym sposobem wysłali oni dużo swych ludzi nad modry Dunaj do Koła polskiego. Przyznać należy, że niejednokrotnie przez ciąg parlamentarnych naszych dziejów delegowano z grona krakowskiej inteligencyi konserwatywnej człowieka zasłużonego i godnego zaufania. Obecnie stronnictwo złożyło sobie kompromitujące świadectwo ubóstwa. Próżno rozglądało się w swym nielicznym szeregu najserdeczniejszych i w szerokiem kole serdecznych. Ten był za głupi, ten za młody, tamten znowu niepewny — nie było nikogo. Coś jednak należało zrobić, bylo w tych ciężkich czasach, choćby kosztem wysiłku ostatecznego, ratować pozory dawnej świetności. Podniesiono kandydaturę dra Maksymiliana Machalskiego, adwokata słynnego ze swej praktyki zawodowej, cieszącego się popularnością śród tłumów żydowskich, dawnego liberała z czasów brzasku ery konstytucyjnej, byłego wroga! stańczyków — dziś starca schorzałego, w którym prócz manier i oratorskiej rutyny nie pozostało nic po ruchliwej młodości. Stańczykowski kandydat z pewnością lepiej wyjdzie na tytule zgrzybiałości, niż na rozpatrywaniu minionych lat mężkich świadomego działania. Wśród namiętności walki wyborczej padały ciężkie słowa, którym opiekunowie kandydata kres kładli przez milczenie. Równocześnie wyłoniła się kandydatura Zygmunta Cieszkowskiego, którego stryj jest hrabią papieskim, co sprawia, że i jego hrabią mianują u nas dobrzy ludzie. Nie komitet go przedstawił, ale grono zażyłych członków resursy szlacheckiej, które dla pewnych zajść w niezupełnej zgodzie żyje ze zrębem stańczykowskiego stronnictwa. Cieszkowski jest człowiekiem ruchliwym, jak rtęć — skorym do działania w jakimbądź kierunku, posiada zapał i talent do przeprowadzenia zamiarów z bajecznie małymi środkami. Przez kilkoletni pobyt u nas był duszą towarzyskiego życia, tańczył na balach, grał na skrzypcach, urządzał koncerty na różne cele, dał raz odczyt publiczny, zbierał laury zasłużone w amatorskich teatrach, woził Matejkę do Rzymu, przewodniczył komitetom balowym, opiekował się sceną, marzył o dyrekcyi teatru krakowskiego, założył wystawę stałą dzieł sztuki, popierał gorliwie towarzystwa miłosierne, pisał fejletony, podjął i rozwinął myśl Towarzystwa św. Cecylii i Towarzystwa geograficznego, działał w niezliczonych towarzystwach, bractwach, klubach i kołach; ostatecznie zaś w sam dzień przedwyborczego zgromadzenia ogłosił w *Czasie* petycyę do Rady miejskiej o udzielenie miejsca na budowę dwóch domów dla ubogiej ludności, które wraz z dwoma innymi obywatelami kosztem swym wystawić zamierza. Z. Cieszkowski potrafi wszystko, tylko nie posłować. Komitet przedwyborczy nie wziął kandydatury na seryo — ale mając ją już raz w ręku, gotów był wyzyskać na chwałę osoby i partyi, pod warunkiem zrzeknięcia się w sam czas i uzyskania w ten sposób precedensu na przyszłość. Kandydatura poczciwego Ksawerego Konopki, prezesa komitetu opieki dla wygnańców pruskich i weteranów z 31 roku, postawiona została i cofnięta bez ujmy dla niego — jako dobra owacya bez politycznej wagi. Nieznużony ciągłemi niepowodzeniami, chroniczny kandydat do Rady państwa, dr Jonatan Warszauer również w tym roku wystąpił, acz na zgromadzeniu wyborczem nie pojawił się, nadsyłając tylko krótki list z przypomnieniem. Mowy Machalskiego i Cieszkowskiego nie zawierały nowych rzeczy. Cieszkowski, mimo początkowego drżenia, prawił pięknie i gółnikami dobrze przybranymi. Dotąd wszystko w porządku i po dawnemu. Tymczasem coraz głośniej i częściej rozlegało się nazwisko Tadeusza Romanowicza, redaktora *Nowej Reformy*, z partyi postępowej. Stańczycy pewni zwycięstwa, uważali to za prostą, nieszkodliwą manifestacyę „ulicy," która chce w walce wyborczej zaznaczyć swą odrębność — jak to się już zresztą i przedtem, bez żadnych następstw, trafiało. Ale przeliczyli się grubo.

Dawniejsze stronnictwo postępowe rzeczywiście nie wielkim strachem mogło przejmować mężów, którzy tyle pożarów ducha gorącego ugasili powodzią słowa; a nie było ono zresztą groźne, bo brakowało mu ładu i ludzi. Przekradali się nieraz do niego zawiedzeni w rachubach, odepchnięci lub osobiście interesowani, ludzie ducha małego, gotowi do powrotu na prawowierne łono za lada ukłon, lada mamidło, lada miskę moralnej soczewicy; szargały go warchoły, skłonne do kufla, do nietrzeźwych uniesień, do nieokiełzanego wrzasku, groźne w knajpie, krzykliwe w kupie, a pełne przywar i nieuctwa. Ale czasy powoli się zmieniły pod wielu względami. Ruch umysłowy szersze ogarnia kręgi. Praca podjęta przez ludzi zgrupowanych około *Nowej Reformy*, acz daleka od doskonałości, acz nie wolna od krytyki, zaczęła wydawać owoce, bo zasada jej postępowa nęciła ludzi, którym duszno było w atmosferze, gniecionej stańczykowskim tłokiem. Pismo, walczące z kłopotami i obojętnością, choć samo nie zadowolni umiarkowanych nawet żądań, podniecało jednak myśl do pracy, deptało stańczykom po piętach, ośmielało ludzi do swobodniejszego poruszania się, wyrażało intencye dawniej trzymane na uwięzi. Nie wszędzie w obozie szukać można zasad postępowych, często napotka się tylko na oburzenie przeciw stronnictwu rządowemu — ale ruch jest wyraźny. Są to nauczyciele, lekarze, urzędnicy, kupcy, rękodzielnicy — przeważnie ludzie ekonomicznie zawiśli, rozporządzający małymi środkami, niezorganizowani, ale pokrewni usposobieniem i chęciami. Obok tego nowe kierunki, jakie rozwijały się śród akademickiej młodzieży,

---

— Marzenia moje dawno cię znają, dotknij ręki mojej, ażebym była pewną, że nie jesteś snem rozwiewnym, lecz urzeczywistnionym.

Ujął ją za rękę i wpatrzył się w jej twarz natchnioną, w której oczy zapałem gorzeć zaczęły.

W tej chwili burza z ogłuszającem hukiem strzeliła błyskawicą, która połamawszy się wielekroć jak szeroki pas złotolity, jednym końcem zaczepiona o niebo, drugim uwięzła w ziemi pod stopami owej ludzkiej pary i zesztywniała w powietrzu, tworząc taśmę stromej i krętej ścieżki. Płaszcz Nocy sprzęgowała ona jasnemi smugami, a wzdłuż spodu tej napowietrznej drogi stanęły w czarnej otchłani przezroczyste słupy, które ją podparły niby szeregiem świetlnych kolumn.

— Słyszałam twoje słowa obrzydzenia dla ziemi — rzekła kobieta — opuść ją i wstąp ze mną na ten szlak błyskawiczny. Może jakaś dobra siła na przekór złej umocowała pioruna w przestrzeni, ażebyśmy po jego stopniach wznieśli się nad gniazdo niecnych żądz ludzkich do innego świata, gdzie Noc tronu swego nie zastawia i opon nie rozściela, gdzie słońce we wszystkich duszach się przegląda.

— Usta twe otwierają się ku mnie jak kielich kwiatu, woniejącego pokusą, a wyrazy zlatują z nich jak tęczowe motyle i osiadają mi na sercu. Czy ta urna popiołów, którą w sobie noszę, miałaby zapalić się ogniem twoich czarownych spojrzeń? Nie uwódź mnie, jeśli chcesz jedynie prześlizgnąć się po mojem ciele jak dreszcz rozkoszny a niezdrowy.

— Nie wahaj się, skoro nie zostawiasz za sobą nic, czego byś nie oddał za to, co cię spotkać może, skoro tylko rozpacz przycisnęła cię do swego łona i karmi gorzką piersią.

Weszli na świecącą drogę i zaczęli w milczeniu posuwać się ku górze. Mężczyzna przystanął — kobieta zapytała:

— Zmęczyłeś się, czy żałujesz ziemi, od której cię odwiodłam?

— Pająk na nitce swej siatki wątłej mógł był mnie od niej odciągnąć, gdybym wierzył, że gdzieindziej znajdę ukojenie dręczących smutków. Szczęśliwy leży tam kamieniem, nieszczęśliwy — puchem, zawsze gotowym do odlotu z byle nadzieją. Dusza moja rozbiera się teraz z chłodów ziemskich jak z wilgotnych szat i przywdziewa ciepłą mgłę upojenia. Stąpam w miękki obłok, oddycham spokojem, jest mi lepiej — dobrze... Błogosławić cię będę ostatnim wyrazem warg moich, jeśli uprowadzisz mnie z tego pola walki, gdzie zwycięzki występek najgrawa się konającej cnocie.

Kobieta oparła rękę na ramieniu mężczyzny i pieściła jego uszy czułą mową.

— Wierz mi, jak wierzysz swym najszczerszym uczuciom. Pokochałam w tobie wszystko, a nie najmniej boleść, pokrewną mojej. Gdybym mogła, pozbierałabym rozproszone po cierniskach życia krople skrzepłych łez twoich, nanizała je na promień słońca i zawiesiła je sobie na szyi. Ta rosa twego serca powinna była padać na pierś moją.

— Zamieniłaby się ona w korale, tak była krwawą. Jeśli cierpienia człowieka są przejawami jakiejś jednej siły, to chyba los dla dogodzenia swemu okrucieństwu kradnie naturze najwrażliwsze dzieci i pastwi się nad niemi. Przyrzeka im wszystko, a gdy na jego obietnicy oprą swoje życie — odmawia wszystkiego. Ledwie ukończyłem lata młodości — a już dusza moja jest schnącym, bezlistnym krzewem, który nie przetrwa zimy i nie doczeka wiosny. Obejrz się ze mną, albo tylko sięgnij uchem w tę czarną przepaść, na której dnie leży ziemia. Czy słyszysz szum mętny, czy odróżniasz w nim głosy błagalne, tryumfujące, rozpaczliwe? Czy wiesz w jaką ogólną harmonię one się stroją?

— Uciekajmy!

— Nie śpiesz się.

— Uciekajmy, bo może stamtąd wzlecą i dogonią nas furye, które ścigały moje ciało na łup dla rozpusty, obsypując zdradliwie iskrami namiętności.

(D. n.).

W. Okoński.

przeszły już w pewnej części w życie obywatelskie wraz z tymi, którzy opuścili ławę szkolną, idąc na zawodową drogę. Ta siła rosła powoli, a że na niej można się już oprzeć, dowiodła przy obecnych wyborach.

Kandydatury Romanowicza nie zgłaszano wcale do komitetu przedwyborczego, ale komitet rychło zmiarkował, na co się zanosi i uderzył w dzwon ratunkowy. Zarzut spisku, pokątnej krętaniny, podziemnych robót wypadł z kół poważnych prosto w twarz Romanowicza i jego przyjaciół, których liczba z każdą godziną rosła, przy pomocy gorliwej agitacyi. Próbne głosowanie okazało, że tym razem postępowcy pokuszą się o coś więcej, niż o zaznaczenie odrębności. Rozpoczęła się więc walka wyborcza, przechodząca rozmiarami wszelkie poprzednie. Komitet użył tajnych sprężyn pomocy władz, wpływu własnego. Rogi ulic, parkany, mury i studnie publiczne pokryły się afiszami wszelkich barw i rozmiarów. Czerwone, zielone, białe, niebieskie, pomidorowe i szare — drukowane i pisane ogłoszenia piorunowały lub wielbiły. Tam znów na wysokim drągu obnosi posłaniec publiczny drukowaną chwałę osoby Cieszkowskiego: „Polak całą duszą, mąż światowy, wszechstronnie wykształcony, majątkowo i społecznie niezawisły a rwący się z zapałem“ — drugi ośmiesza kolonizacyjne marzenia Machalskiego i przystępność, którą chwalił się Cieszkowski, a jeszcze inny odsądza Romanowicza od czci i wiary. Owdzie znów bije w oczy jaskrawy afisz z napisem: „Hrabiów zostawmy salonom — my ludzie pracy wybierajmy Romanowicza“ — pomysł i nakład jakiegoś domorosłego demokraty z Kleparza. Handelki, cukiernie i kawiarnie pełne wrzasku i dymu; po szynkach licytacye głosów, zrazu po „pięć szóstek od sztuki,“ a potem rosnące do paru guldenów wartości. Wszędzie gromadki ludzi po ulicach i ruch fiakrów niezwykły. Słowem „huczek niemały“ — zapał wyborczy przypominający słynny rozdział z *klubu Pickwicka*. Przy głosowaniu Romanowicz dostał 916 głosów, a Machalski 578, inni kandydaci znacznie mniej. Ponieważ bezwzględnej ilości głosów nie otrzymał nikt, przeto delegat namiestnictwa, hr. Badeni, ogłosił wybór ściślejszy, dopuszczając do niego tylko Romanowicza i Machalskiego. Romanowicz więc miał o 338 głosów więcej, niż kandydat popierany całą forsą rządowego stronnictwa. Cyfra wymowna. Stańczycy skompromitowali się gruntownie, upadek sił pokazał się jawnie. Wymowy faktu tego nie mogło i nie może nic osłabić.

Ratunek po moralnej klęsce znaleźli jedynie w przypadkowej okoliczności braku bezwzględnej przewagi głosów danych Romanowiczowi, odnośnie do liczby wyborców. Korzystając więc z rozpisania ściślejszych wyborów, napięli wszystkie możliwe struny, puścili całą swą parę. Więcej już nic nie są w stanie zrobić. Całą noc krzyżowały się telegramy urzędowe i półurzędowe między Wiedniem, Krakowem i Lwowem; sprowadzono „wysokie“ osobistości, wysypano stosy banknotów, naruszono prawa wyborcze, nakazano głosować urzędnikom, dając im *Wink von oben* bardzo wyraźny. Niektóre szczegóły podała *Nowa Reforma*. Opowiadają one o rzeczach cynicznych. Podała zaś tylko te, co dadzą się dowieść czarnem na białem, bo inaczej spadłyby na redakcyę smutne skutki za rzucanie władzom w oczy oszczerstwa. Ile jednak po za tym obrębem dokonano niemoralnych, smutnych rzeczy, których nie wolno wspominać, ani dowodzić, choć się na nie patrzało. Wszelkie pojenia przedmiejskich łyków, wszelkie agitacyjne grzeszki stronników Romanowicza muszą obok tego zblednąć i wydać się dziecinną igraszką lub biciem głowy o mur. Po dziejach tak użytej nocy i połowy dnia wynik ostateczny wyborów był zapewniony: Machalski dostał 1215 głosów, Romanowicz 1103. Posłem z Krakowa został więc dr Machalski. Sprzymierzone siły Stańczyków i konserwatystów przy pomocy urzędników państwowych odniosły zwycięstwo. Ale to zwycięstwo dużo kosztowało. Krakowscy Pyrrhusi mogą sobie powiedzieć: jeszcze jedno takie zwycięstwo — a zginęliśmy!

Z FRANCYI.

Paryż, 16 kwietnia.

Jeszcze zmowa w Decazeville. — zaburzenia o kaplicę w Chateauvilain.

Zmowa w Decazeville trwa ciągle, wprawiając w ruch całą machinę parlamentarną Respubliki. Interpelacye pojawiają się jedna za drugą, uwidoczniając nastrój Izby i rządu wobec sprawy, która tygodnie już całe trzyma cały kraj w naprężeniu. Gabinet wychodził wciąż dotąd obronną ręką z tych sejmikowych zapasów, za każdym bowiem razem Izba przyjmowała porządek dzienny, wyrażający zaufanie do energii władz i pobożną nadzieję republikańską, że słusznym żądaniom górników stanie się zadosyć.

I nic dziwnego, że sprawa ta zajmuje tak żywo całą Francyę; nie chodzi bowiem o przemijające zajście bez znaczenia. W Decazeville odbywa się pojedynek pomiędzy klasą robotniczą, popieraną przez radykalnych i popierającą tych ostatnich, a potężną oligarchią plutokratyczną, wrogo usposobioną dla Rzeczypospolitej.

Od tego, kto zwycięży, czyje wpływy przeważą, zależy nietylko ten drobny stosunkowo szczegół, czy górnicy w Decazeville powrócą do roboty lub nie i na jakich warunkach, lecz kto okaże się silniejszy: republikański radykalizm czy monarchicznie nastrojony konserwatyzm.

Obie też strony walczące wspierają swych sprzymierzeńców w departamencie Aveyron. Wielkie kompanie węgla w północnej Francyi związane są oddawna w potężne syndykaty patronalne, działające solidarnie wobec górników, dobijających się podwyższenia płacy i rozszerzenia swych praw. To też kompania w Decazeville zachowuje się odpornie od samego początku starcia, głucha na wszelkie propozycye, wychodzące ze strony górników i obojętna na pojednawcze plany, podsuwane przez rząd, ugodowo nastrojony. Prasa konserwatywna dodaje odwagi zagrożonym potentatom, wróżąc konieczny upadek Respubliki i nastanie lepszych czasów dla wszelkiego konserwatyzmu. Z swojej strony partye nie zaniedbują niczego, ażeby opór zbuntowanych podtrzymać. Poseł Basly, b. sekretarz generalny syndykatu górników północnej Francyi, gości ciągle w Decazeville'u, organizując i podtrzymując zmowę, w czem dopomagają mu posłowie Camelinat, Clovis-Hugues i inni. Dzienniki radykalne utrzymują wciąż na miejscu swych korespondentów, którzy nietylko drażnią opinię publiczną, lecz biorą udział bezpośredni w zebraniach, dodają odwagi i wzywają do zachowania pozycyi pokojowej i wyczekującej. Niedawno dwóch z tych dziennikarzy, pp. Du Quercy z *Cri du Peuple* i Roche z *Intransigeant* zostali aresztowani, rząd bowiem, który układał się o 900 milionową pożyczkę, potrzebował dać pewne zadosyćuczynienie panom kapitalistom, rozporządzającym złotym kruszcem. Usuniętych jednak natychmiast zastąpili inni, którzy skwapliwie pośpieszyli na zagrożone stanowisko, w nagrodę zaś za oddane radykalizmowi usługi, jeden z aresztowanych stawiony jest na opróżnione po wystąpieniu Rocheforta miejsce poselskie. Składki na górników nie ustają. Za przykładem rady Paryża, która uchwaliła 10,000 fr. zapomogi, poszły i inne miasta; kolumny zaś gazet radykalnych zapełnione są codzień składkami. Sam *Cri* zebrał dotąd blizko 40,000 fr.

Z powodu aresztowania dziennikarzy wystosowano, nie wiem już którą z kolei, interpelacyę do rządu i tym jednak razem gabinet wyszedł zwycięzko, dzięki silnemu poparciu konserwatystów.

Pomoc wszakże jest z natury położenia nader zawodną, zdarzył się przytem wypadek, który cały obóz konserwatywny odstrychnął znowu silnie od rządu. Mówimy o zajściu w Chateauvilain, w dep. Isère.

W miejscowości tej znajduje się fabryka, będąca, jak zwykle, w posiadaniu osób klerykalnych i antyrepublikańsko usposobionych. Fabryka tkacka, jeżeli się nie mylę, zajmowała przeważnie kobiety, które podzielały ze swymi pracodawcami nastrój religijny, posunięty do fanatyzmu. W obrębie jej istniała od dawna kaplica, często odwiedzana przez pracownice. Odprawiał tam codziennie nabożeństwo ksiądz miejscowy, żyjący w stanie otwartej wojny z władzami Rzeczypospolitej i ludnością, niezachowującą ściśle przepisów kościelnych. Kościół parafialny nie był zbyt gorliwie nawiedzany, kaplica jednak stanowiła twierdzę, w której bojujący sługa kościelny rad przebywał, widząc się otoczonym przez rzesze nabożne i gorliwe.

W tym stanie rzeczy władze świeckie miejscowe postanowiły zaatakować nieprzejednanego duchownego w samej jego twierdzy. Odgrzebano odpowiedni przepis ustawodawczy, oparty na konkordacie, w którym powiedziano, że żadna kaplica istnieć nie może publicznie bez osobnego upoważnienia rządu. Ta zaś nie miała upoważnienia, władze przytem republikańskie uważały słusznie całą osadę fabryczną za ognisko żywiołów wrogo usposobionych dla obecnego porządku. Nie brakło dowodów, jak np. bankiet, urządzony z powodu jakiegoś antyrepublikańskiego święta, na który przybył biskup miejscowy i cała śmietanka konserwatywnej opozycyi. W tych warunkach wyrabiał się stan wzajemnego rozdrażnienia między obu walczącemi stronami, który sprowadził katastrofę.

Pewnego pięknego poranku prefekt miejscowy nadesłał dyrektorowi fabryki p. Fischerowi oświadczenie, że kaplica zostanie zamkniętą i opieczętowaną jako istniejąca bezprawnie. Odpowiedni urzędnicy mieli spełnić ten nakaz. Dyrektor fabryki prosił na razie o zwłokę, tłomacząc się brakiem odnośnych rozporządzeń ze strony samych właścicieli przedsiębiorstwa. Na zwłokę przyzwolono, gdy jednak ponowne wezwanie zostało również niewysłuchanem, u furty fabrycznej stawili się urzędnicy Rzeczpospolitej z pieczęciami w ręku. Brama jednak była zamkniętą, na wezwania zaś w imieniu prawa odpowiadano odmową i wymyślaniami. Cała osada fabryczna, czując się zagrożoną w swych uczuciach i przekonaniach religijnych, stanęła na stopie wojennej; z drugiej strony sprowadzono ślusarza i uzbrojonych żandarmów.

Gdy rozwarły się wreszcie wrzeciądze fabryczne, dzięki pomocy ślusarza i naciskowi szturmujących, padło kilka strzałów i oblegający ujrzeli tłum sfanatyzowanych kobiet, uzbrojonych w przeróżną broń domową, na czele zaś ich samego dyrektora z rewolwerem w ręku. Odpowiedziano wystrzałami. P. Fischer został niebezpiecznie raniony w szyję, jedna z kobiet, która wylała na żandarma brzydką zawartość pewnego naczynia, zabitą została na miejscu, jedna z dziewczyn raniona mniej niebezpiecznie jak i dwóch żandarmów. Tak tragicznie zakończyła się ta awantura.

Zajście to wywołało oczywiście oburzenie w całym obozie konserwatywno-klerykalnym, a gabinet wysłuchać musiał energicznej interpelacyi, podjętej przez hr. de Mun i popartej przez całą prawicę. Większość republikańska dała oczywiście gabinetowi, po mowie ministra wyznań i oświaty, wotum zaufania.

Fakty powyższe dowodzą, jak rozdrażnione są umysły we Francyi i do jakiego natężenia dochodzi nienawiść między walczącymi z sobą obozami.

P.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sejmy niemiecki i pruski odroczyły swe posiedzenia, pierwszy zbierze się dopiero 17 maja, drugi zaś wcześniej, ponieważ musi śpieszyć się z zatwierdzeniem projektów antipolskich. W ostatnim tygodniu uchwalono kredyt na wzmocnienie szkół niemieckich, polacy i centrum znowu protestowali, ale wobec zwartej większości opozycya traci wszelkie znaczenie i głos jej przebrzmiewa bez echa.

W wiedeńskiej Radzie państwa przyjęto w ostatniem czytaniu ustawę o pospolitem ruszeniu. Członkowie klubu niemieckiego głosowali przeciw niej, chociaż rząd przedstawiał, że idzie tu o obronę kraju. Bezwzględna ta opozycya wywołała oburzenie nawet w sferach niemieckich. W Krakowie na miejsce Zatorskiego wybrany został posłem adwokat Machalski. W Tarnowskiem w kuryi włościańskiej przeszedł ks. Kopyciński, którego szlachta ogłosiła jako demagoga a władza duchowna zmusiła do złożenia mandatu. Obecnie nie ogłoszono jego kandydatury, chłopi jednak wybrali go powtórnie. Fakt ten nabiera znaczenia w związku z wieściami o burzeniu się włościan w powiecie tarnowskim i sąsiednich.

Projekt samorządu w Irlandyi przeszedł w pierwszem czytaniu, więc chociaż drugie dopiero stanowczo decyduje o przyjęciu bilu, spodziewać się można, że zostanie zatwierdzony, zwłaszcza iż Gladstone poczynił pewne ustępstwa. Prawo o reformie stosunków rolnych wniesiono również do parlamentu, wykup będzie dobrowolnym, na pierwsze lata rząd przeznacza sumę 50 milionów f. szt. zamiast 120, jak mówiono. Po oświadczeniu Chamberlaina, że zmienione i uzupełnione projekty mogą być przyjęte, wydaje się prawdopodobnem ostateczne zwycięztwo Gladstone'a, zwłaszcza kosztem pewnych ustępstw, opozycycya bowiem przeciągnąć winna na swoją stronę około 80 głosów partyi liberalnej.

Sprawa wschodnia wchodzi w nową fazę, oczy polityków zwrócone są na Liwadyę, gdzie przebywa Cesarz rosyjski. Do miejscowości tej udało się obecnie nadzwyczajne poselstwo tureckie, któremu towarzyszy poseł rosyjski w Konstantynopolu Nelidow i poseł rosyjski w Atenach. Ministra wojny zawezwano telegrafem z Petersburga. Jakie postanowienia wyjdą z Liwadyi, pozostaje to zagadką nawet dla wszystkich wiedzących korespondentów; niektóre, zwykle dobrze informowane gazety rosyjskie zapewniają tylko, że odtąd polityka Rosyi będzie stanowczą, bo czas już położyć kres intrygom i odraczaniu rozwiązania spraw bałkańskich.

Tymczasem książe bułgarski, który podpisał wprawdzie uchwałę konferencyi, ale opatrzył ją zastrzeżeniami, przyjął firman sułtański i jakby nic go nie obchodziły postanowienia dyplomacyi, przyśpiesza faktyczne zjednoczenie obu krajów i zwołuje zgromadzenie narodowe wspólne dla Rumelii i Bułgaryi, co sprzeciwia się nowej uchwale mocarstw. Z tego powodu posypią się zapewne nowe protesty, nowa konferencya, która, chcąc nie chcąc, zgodzi się z faktem dokonanym, tylko dla honoru Europy obmyśli mu jakąś nową formę.

Grecy czekają na przyjazny zbieg okoliczności. Czarnogórcy zaś skorzystali z powikłania stosunków, wkroczyli na terytoryum tureckie i zajęli kilka wsi, które im niegdyś przyznała podobno jedna z licznych komisyj granicznych. Zatarg ten załatwiono już zresztą na zasadzie: *beati possidentes.*

We Francyi w Roubaix i innych miejscowościach sąsiednich z Belgią wybuchły drobne bunty socyalistyczne, istnieje wszakże obawa, że zaburzenia przyjąć mogą szerszy zakres.

W okolicach Medyolanu znowu powtórzyły się rozruchy chłopskie, w których przyjmują udział robotnicy wiejscy. Ponieważ i proletaryat miejski w Lombardyi burzył się niedawno, rząd włoski przedsiębierze surowe środki ostrożności z obawy, żeby powstanie nie objęło całej prowincyi.

Te „konwulsyjne drgania" czwartego stanu powtarzają się coraz częściej, ale zajęte sprawami dyplomatycznemi rządy zamało zwracają na nie uwagi.

BADANIA NAUKOWE.

OBYCZAJOWE CZYNNIKI WŁASNOŚCI.

I.

Obok warunków przyrodzonych, stanowiących materyalny podkład własności, na rozwój jej i kształtowanie się wielki wywierają wpływ czynniki natury moralnej, jak, uczciwość, oszczędność, pilność itp. Z pomiędzy nich ważne są nietylko te, które w bezpośrednim z własnością zostają związku, ale i te, w których spójni takiej na pierwszy rzut oka dopatrzeć niepodobna—np. poczucie solidarności rodzinnej, życzliwość, prawdomówność, umiarkowanie, zamiłowanie do porządku. Miłość ku blizkim swoim staje się dla głowy rodziny bodźcem najsilniejszym do pożytecznej działalności, podczas kiedy ci blizcy znowu, w skutek łączących ich węzłów, czują się w obowiązku szanowania tego, co nabył ich ojciec. Dobrzy rodzice nie pragną niczego więcej, jak możności zapewnienia dzieciom swoim dobrobytu w przyszłości, skąd same przez się wynikają udzielane odpowiednie wskazówki, zasiłki i poparcie, oraz dążenie do ograniczania się w potrzebach i do gromadzenia zasobów. Walki pomiędzy kapitałem a pracą w znacznej części są wypływem braku dobrej woli obustronnej, a tem samem nieposzanowania własności i praw wzajemnych. Umiarkowanie nietylko sprzyja zdrowiu i zdolności do pracy, lecz nadto, przy wzrastającym poziomie cywilizacyjnym, wiedzie za sobą troskliwe zachowywanie dóbr materyalnych i sprawiedliwszy ich podział. Nadmiar używania natomiast podkopuje siły fizyczne, niweczy podstawy bytu gospodarczego i nieczułym czyni na wszelkie wyższe porywy. Co do zamiłowania porządku zaś, to tylko przy jego istnieniu mowa być może o własności w ścisłem znaczeniu, czyli o władaniu tem, co się posiada. Władania tego nie ma, a przynajmniej jest ono ograniczonem, skoro właściciel nie umie sobie zdać sprawy, z czego składa się jego posiadanie i gdzie znajduje się każda pojedyncza jego część.

Ciekawem jest niezmiernie i pouczającem śledzić, jak czynniki te zwolna i stopniowo w pochodzie dziejowym ludzkości torowały sobie drogę, od czasów pierwotnych, kiedy nie znano wcale pojęcia własności i rabunek uchodził za godziwy sposób nabycia, aż do dni naszych, w których własność zwykliśmy tłomaczyć pewnemi stałemi zasadami i wiązać ją z niemi.

Zadanie w tym kierunku na wielką skalę podjął świeżo, o ile wiemy po raz pierwszy, nietylko w literaturach niemieckiej, ale w literaturach europejskich wogóle — znany uczony niemiecki Ludwik Felix, którego wyniki badań, owoc nadzwyczajnego oczytania, głębokiej wiedzy i nader trafnych spostrzeżeń, zamierzamy tu w treściwym przedstawić zarysie *).

Autor nie uważa pojęcia własności za coś z góry danego, co do głównej istoty swej niezmiennie określonego, lecz owszem mieni je on chwiejnem wciąż, przystosowującem się do każdorazowego stanu kulturalnego i warunków materyalnych i zdolnem do coraz większego udoskonalenia. Podług niego, nie ma na planecie naszej nic stałego, nic trwale niewstrząśnionego. Ziemia nawet chwieje się w posadach, wraz z nią drga cała natura żywa i martwa, żadna zaś ze zmian tych nie dokonywa się bez wpływu na stosunki własności w mniejszym lub większym zakresie. Na rozwój jej już to pomyślnie, już niepomyślnie działają zjawiska wzniesienia i spadku gruntu, wezbrania, zapiaszczenia przystani i zmian klimatycznych.

Stopniowe uszlachetnianie roślinności i rozmaitych gatunków zwierzęcych zwiększa pożytek materyalny i idealny, upowszechnienie ich rozszerza dziedzinę przedmiotów własności i wywołuje nowe, rozwojowi jej sprzyjające czynności, podczas gdy znikanie roślin i zwierząt rozwój ten tamuje. „Potężniejszemi — mówi Feliks — cudowniejszemi, obfitszemi w skutki, aniżeli zmiany podobne, są te, jakim podlega ich współsprawca — człowiek. Rozleglejszy zakres i udoskonalenie jego wrażeń zmysłowych, rozrost sił jego duchowych i powstałe z tego źródła różnorodne nowe potrzeby zaostrzają biegłość w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu, rozwijające się zdolności umysłowe i obyczajowe współzawodniczą z sobą w celu nakłonienia go do coraz właściwszego korzystania z sił swoich, podczas gdy w szczególności, wynikająca z podniesienia uczuć moralnych życzliwość, coraz głośniej każe dopuszczać do udziału w dobrodziejstwach własności koła dawniej upośledzone. Przebieg ten nie wszędzie odbywa się równomiernie, a nigdzie bez czasowych przeszkód i pozornego lub rzeczywistego cofania się, pomimo to jednak rezultaty dodatnie zawsze mają przewagę."

Z tej powszechności zmian autor wyprowadza konieczność wiecznego chwiania się wartości, która nie jest niczem innem, jak wyrazem ustawicznie przeobrażającego się stosunku naszego do przedmiotów, również ciągłym ulegających przeobrażeniom co do kształtu, dobroci i ilości, skąd znów dalej dochodzi do wniosku, że wartość jest czemś czysto-idealnem i pojęciem względnem. Z tych zmian też nauka najoczywistsza, że rodowi ludzkiemu nieprzeznaczonem jest trwałe używanie spokoju, że mu nie wolno nie zwracać uwagi na wypadki zewnętrzne. „Toujours en vedette" — powinno być hasłem gospodarującej ludzkości, której warunki bytu zmieniają się co chwila; bacznie śledząc postęp wszelki, powinna ona wciąż starać się życie swe i pracę przystosować do tych zmian. Odwagi przytem dodaje myśl, że ludzkość nietylko zdolną jest do udoskonalenia, lecz nadto koniecznie udoskonalać się musi, aby wyjść zwycięzko z nastręczającej się jej wciąż pod nowemi postaciami walki o byt."

Przechodząc do danych historycznych, autor zapowiada, iż będzie musiał prze-

---

*) Ludwig Feliks. *Der Einfluss der Sitten und Gebrauche auf die Entwicklung des Eigenthums.* Lipsk. 1886, str. 462.

ważnie kreślić obrazy stanów niemoralnych i z tego powodu zastrzega się przed zarzutem, jakoby miał zamiar stosunki malować czarniej, aniżeli były w istocie. Okoliczność tę tłomaczy po prostu tem, iż przy mniej więcej posuniętym stopniu cywilizacyi przymioty obyczajowe i bezpośrednio na własność oddziaływające, tak są zrozumiałe, że zazwyczaj nawet nie wspominamy o nich, oraz że skutki czynów niemoralnych są widoczniejsze, a stąd częściej ku pamięci potomnych podawane, aniżeli pierwsze.

W stanie najpierwotniejszym rodu ludzkiego brak zupełnie przymiotów obyczajowych, stanowiących niezbędny warunek wszelkiej własności, tam zaś, gdzie faktyczne istnieje posiadanie, trudno go utrzymać, a tem mniej pomnożyć, z powodu niedostatecznego bezpieczeństwa. I dziś jeszcze wiele ludów, prowadzących życie pierwotne, dopuszcza się rabunku i kradzieży bez świadomości bezprawia, a wojny ich, prawie wyłącznie wyprawy łupieżcze, rozwijają największą ich cnotę—waleczność. Zbójcy, rabusie na drogach publicznych i złodzieje wspominani są w najdawniejszych zabytkach dziejowych. Mówią o nich księgi Rig-Vedy, a jedna z legend indyjskich opowiada o dwu duchach nieczystych, Bala i Pani, które skradły bogom kramy i ukryły je w jaskini. Jak naiwnie pojmowali podstęp i rabunek grecy z czasów Homera, dowodzi podanie, według którego Antolikos przez boskiego ojca swego Hermesa obdarzony został zdolnością przeinaczania postaci przedmiotów skradzionych w ten sposób, iż nie mogli ich poznawać prawi właściciele. Słowo dane u ludów pierwotnych żadnego nie ma znaczenia, pojęcie kredytu jest im zupełnie obcem, w wyjątkowych wypadkach zaś, w których kredyt jest udzielany, pobierane są tak wysokie procenty lichwiarskie, iż w skutek nich całe rodziny nieraz popadają w stan niewolnictwa, jak to szczególniej widzimy u indyan w środkowej Ameryce i u malajczyków. W Kano np. zwykłą stopą procentu jest sto za sto, bez względu nawet na czas, którego wartości mieszkańcy tamtejsi cenić nie umieją. Znany podróżnik Barth przytacza, iż pożyczywszy tam 500.000 muszel, wartości dwustu dolarów, musiał się zobowiązać do oddania podwójnej ilości w przeciągu czterech miesięcy. Następstwem braku czci i wiary na niższych szczeblach cywilizacyi jest żądza pieniactwa. Żądza ta, podług Waitza, doprowadza nieraz do ruiny murzynów złotego wybrzeża. Mieszkańcy Angoli bezustanne wiodą spory o posiadłości swoje i z powodu bagatelnych często przedmiotów rozpoczynają bardzo kosztowne procesy. Surowość pierwotna prowadzi niejednokrotnie do niszczenia przedmiotów własności, szczególnie zwierząt. Livingstone uskarża się na ciągłe choroby bawołów z powodu niemiłosiernego ich przeciążania, oraz na to, że wielbłądy, bawoły i muły najczęściej padają w skutek tego, iż sepejowie bezpotrzebnie godzinami całemi wystawiają ich na żar słoneczny. Oczywistym skutkiem opieszałości u niektórych ludów w stanie pierwotnym będących jest lekceważenie rzemiosła. Maorisowie (z Nowej Zelandyi) nie chcą zajmować się żadną pracą rzemiosłową, gardząc każdą. U beduinów praca wogóle do dziś jeszcze uważa się za tak hańbiącą, że żaden z nich nie poślubiłby córki rzemieślnika. Natrętne żebractwo, według słów podróżnika Burtona, zaszczytniejszem jest u nich, aniżeli pożyteczna działalność. Rozkoszna kraina Zanzibaru potrzebuje grobli odpływowych i kanałów. Ale najbardziej zabójcze epidemie wydają się leniwemu arabowi złem mniejszem, aniżeli praca, jakiej wymagałoby zbudowanie grobel i wałów. U guanchów na Teneryfie każdy achimensej, który własną ręką doił kozę, tracił szlachectwo. Przeciwwagę przeciwko wszystkim pierwiastkom wrogim uobyczajeniu a tem samem i rozwojowi własności — stanowi u ludów pierwotnych gościnność.

Zwracając się do czasów historycznych, Feliks powiada: „Jakkolwiek przykrem jest dla miłośnika starożytności klasycznej widzieć, jak ulubione ideały młodości jego we mgle się rozpływają — sumiennemu badaczowi zamilczeć nie wolno, że u dawnych greków uczciwość i dobra wiara były bardzo rzadkie, podstępy natomiast wszelkiego rodzaju, jako następstwa chciwości bez granic zdarzały się nadzwyczaj często. Chciwość rzymian ujawniła się za rzeczypospolitej głównie w niepohamowanej żądzy posiadania ziemi. Żądza ta była najważniejszą przyczyną walk pomiędzy patrycyuszami a plebejami, z których pierwsi samowolnie przywłaszczali sobie wyłączne użytkowanie z gruntów wspólnymi podbojami zdobytych (ager publicus), zwolna dzierżawców plebejskich zastępowali niewolnikami i obok tego najrozmaitsze plebejuszom wyrządzali krzywdy. Dosyć wspomnieć o ścięciu Spuriusza Kasiusza z powodu zaprojektowania pierwszej ustawy rolnej, o skazaniu na śmierć Spiriusza Maeliusza za tanie sprzedawanie zboża podczas drożyzny, o karze śmierci poniesionej przez Marka Manliusza z powodu płacenia długów plebejskich i ofiarowania gruntów swoich na ten cel — czyny, na usprawiedliwienie których wymyślono zamiary jakoby zdrady stanu — dalej o długich walkach, jakich potrzeba było dla przeprowadzenia ustaw licyniańskich, wreszcie o przewrotach które nastąpiły za przewodem Gracchów. Jaki zakres stopniowo przybierał podstęp w stosunkach przemysłowych, o tem najlepiej świadczy długi spis fałszerstw rozmaitych towarów, podany w dwunastej księdze historyi naturalnej Pliniusza. Podobnie, jak w Helladzie, tak samo i w Rzymie służba publiczna często stawała się źródłem bogactw ogromnych. Podług słów Plutarcha Markowi Brutusowi — który, jak się zdaje, prowadził także lichwę na wielką skalę — stanowisko jego podczas wojny i pokoju nietylko zapewniało wpływ potężny, lecz nadto ciągnął z niego i skarby wielkie. Cycero w mowie za ustawą Maniliusza zarzuca Lukulusowi prowadzenie lichwy pieniędzmi państwowemi. Wprost przerażającemi były zdzierstwa, jakich w prowincyach dopuszczali się gubernatorowie i ich zausznicy. Wysysanie prowincyj ze strony urzędników rzymskich uważane było za coś tak naturalnego, że często otwarcie uspakajano wierzycieli widokami na nie i że Cycero miał prawo poczytać to za szczególną zasługę bratu swemu Quintusowi, iż tenże, mając sobie powierzoną władzę najwyższą w prowincyi azyatyckiej, kradzieży się nie dopuszczał. Gospodarka tych prawdziwych paszów dosięgła szczytu bezczelności w postępowaniu Verresa w Sycylii. W jednej z mów swych ognistych woła Cycero: „Cała Sycylia, gdyby jednym głosem odezwać się była w stanie, rozbrzmiałaby skargą: wiele było złota, srebra i dzieł sztuki w miastach moich, mieszkaniach i świątyniach, tyś mi je zrabował Kajuszu Verresie: dlatego słusznie domagam się od ciebie 100 milionów sestercyj!“ Do plag świata starożytnego, zarówno w Grecyi, jak i Rzymie, tamujących rozwój własności i podkopujących wszelki byt ekonomiczny, należały także rozrzutność, marnotrawstwo, zbytki wszelkiego rodzaju, pasorzytyzm czyli po naszemu pieczeniarstwo, podstępne przedawanie o spadki. O jednym z późniejszych cesarzy, o Karakalli, Herodyan utrzymuje, iż w ciągu jednego dnia zmarnował tyle, ile zebrał Septimus Severus w ciągu lat 18.

(D. c. n.).

Ad. J. Cohn.

LITERATURA I SZTUKA.

PIOTR CHMIELOWSKI.

II.

Nie jest on uczonym takiej miary i metody, jak np. Scherr w literaturze niemieckiej, ale też nie jest literatem dziennikarskim. Powiedziałbym — że jest uczonym i publicystą w jednej osobie, albo czemś pośredniem między pierwszym a drugim. Ale w ocenie jego działalności trzeba przedewszystkiem pamiętać, w jak ciężkich pracuje warunkach. Kiedy trutnie i darmozjady zajmują u nas najwyższe stanowiska, albo pędzą życie przyjemne i wygodne w „dobranych“ kółkach, on bez urzędu, bez imienia, bez zapomóg, w walce o byt dorabiał się sławy, a kiedy publiczność i publicystyka oddały hołd jego pracom, ludzie zawistni albo dotknięci jego krytyką mają mu ciągle coś do zarzucenia, zwłaszcza kiedy nie on sam, lecz ktoś go zaleci jako kandydata do zaszczytniejszego miejsca.

Co prawda, Chmielowski nie wskazuje nowych dróg ludzkości, nie jest nawet pisarzem na wskróś oryginalnym, zwłaszcza w pierwszej dobie swej działalności literackiej. Nie goniąc jednak za oryginalnością, którą uważa za „niemożliwą“, (? *Red.*) stara się przyswoić sobie prace i metodę najlepszych pisarzy zagranicznych, nie bez krytyki, a nadto z uwzględnieniem potrzeb miejscowych. Nie wyczerpuje czasem przedmiotu skutkiem braku bibliotek, prac przygotowawczych lub — czasu. Ale kto uprawia tę niwę, wie, jak trudno skupić w całości materyał rozproszony po pismach peryodycznych i broszurach, jak mało u nas ciągłości w robotach literackich, jak każdy niemal na nowo zaczyna pracę, nieraz w znacznej już części dokonaną przez innych.

W badaniach swych nie ogranicza się Chmielowski do pewnych wypadków i postaci, już mniej więcej znanych i oświetlonych, ale stara się przedewszystkiem o karczowanie nowin, przerzuca się od jednej osobistości do drugiej, z jednej epoki w drugą (chociaż najchętniej zajmuje się czasami nowszymi), a dawniej wychodził nawet po za granice literatury. Aby dać wyobrażenie czytelnikom o rozległości i rozmaitości jego studyów, wymienię tu kilkanaście ważniejszych.

W szkicu psychologicznym: *Geneza fantazyi*, streszczającym rezultaty nowszych badań, wykazującym, że fantazya nie jest odrębną władzą ducha, ale tylko jedną z jego form, w niczem się radykalnie nie odróżniającą od wszystkich innych, że zarówno natchnienie poetyckie, jak i wątki mityczne są produktem kojarzenia wyobrażeń i w składzie swoim nic nadprzyrodzonego nie przedstawiają, korzystał głównie z prac Taine'a, Despine'a i Cohena. Różnicę między fantazyą a rozumem tak określa: „Fantazya jest to taki proces myślenia, w którym wyobrażenia zmieniają się i kombinują pod kierunkiem naszych uczuć na podstawie asocyacyi swobodnej. Rozum zaś jest to taki proces myślenia, w którym wyobrażenia, przeobrażone na pojęcia, zmieniają się i kombinują pod kierunkiem obserwacyi i doświadczenia również na podstawie asocyacyi, ale skrępowanej jednem lub kilku pojęciami, które miano prawd noszą.“

W rozprawie doktorskiej: *Die organischen Bedingungen des Willens* (Lipsk, 1874), stojąc także na stanowisku nowszych badań filozoficznych, rozpatruje powstanie woli w warunkach organicznych, a więc związek, zachodzący pomiędzy psychicznymi objawami woli i procesami fizyologicznymi, wywierającymi wpływ na owe ob-

jawy— i wykazuje, że wola nie jest czemś pierwiastkowem, prostem, lecz nabytem, złożonem.

Po tych fizyologiczno-psychologicznych studyach, w których samodzielności nie okazał, rzucił się Chmielowski do literatury i pedagogii. W tej ostatniej zdziałał teoretycznie o wiele więcej, niż w zawodzie praktycznym, bardzo ograniczonym. Najważniejsze jego zasady pedagogiczne złożone są w dziełku: *Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinno* (Warszawa, 1874). Zarzuca on zardzewiały już mechanizm dydaktyczny, a każe harmonijnie rozwijać w dziecku rozum i uczucie, zmuszając je do wydawania własnego sądu o każdym przedmiocie, który dobrze, *naocznie* pozna. Słowem, wprowadza system okazowy zamiast opowiadającego, doświadczalny — zamiast apriorystycznego. W wykształceniu młodzieży akcentuje kierunek praktyczny, chce więc wprowadzić do nauki szkolnej wykład najważniejszych zasad etyki, nauk społecznych i psychologii. Wielką rolę w wychowaniu przeznacza rodzinie: „Dom — powiada — powinien dać dziecku nietylko życie fizyczne, nietylko środki do jego utrzymania, ale przedewszystkiem musi wyrabiać w niem poczucie przyszłych obowiązków.“ „Szkoła nie może nauczyć wszystkiego, są pewne prawdy, dla których dom jest schronieniem i szafarzem...“ (*Opiekun domowy*, 1872, nr 17-ty).

W *Książce do czytania* (Warszawa, r. 1875) dla dzieci, poczynających rok ósmy, treść poczerpnięta głównie z dziejów życia rzeczywistego. Nie ma tu już powieści fantastycznych (klechd, baśni itd.), „działających szkodliwie na dzieci,“ ale zbyt mało uwzględniono jeszcze nauki przyrodnicze i życie społeczne.

W dziełku o *Poezyi w wychowaniu* (Wilno, 1881) podnosi Chmielowski kwestyę żywotną. Wiadomo, jaką rolę odegrała poezya w epoce romantycznej: uważano ją „za matkę wiary i prawdy, za bóstwo narodów.“ Dopiero nowsza, t. z. pozytywna filozofia przyznała sztuce dodatkowe tylko znaczenie, czyniąc z bóstwa piękną, szlachetną — zabawkę. Chmielowski zajmuje pośrednie stanowisko. Zdaniem jego, poezya, jako najpopularniejsza wyobrazicielka sztuk pięknych, jest objawem a zarazem warunkiem normalnego, duchowego życia narodów, *staje na równi* z wiedzą i ze wszystkiemi formami życia społecznego. Nie powinna ona być kierownicą naszych spraw politycznych i społecznych, ani prawodawczynią naszego rozumu, ale winna wszędzie nam towarzyszyć, ażeby wszystko, co jest w nas twórczego — obudzić, rozruszać i do działania natchnąć. Przestrzega jednak na innem miejscu przed zbytniem rozgałęzieniem się beletrystyki. „Należy nam znacznie ograniczyć zakres wpływu, jaki beletrystyka na umysły nasze wywiera. Nauki zmuszają do jasnego i ścisłego rozumowania, beletrystyka zaś może częstokroć do fantazyowania i marzycielstwa pobudzić. Prawda, że z ogniska poezyi może nieraz wyskoczyć błyskawica natchnienia, która nas do szlachetnych czynów pobudzi, ale to nieraz zrobi z człowieka kwilące dziecię, niezaradne stworzenie. Romans może wprowadzić na bezdroża fantastycznych utopij.“ „Nauka tylko jest posilnym pokarmem duchowym, beletrystyka, przynajmniej taka, jak ją u nas pojmują, może być mniej lub więcej przyjemną rozrywką.“ (*Opiekun domowy*, 1872, nr 17.)

Inne prace pedagogiczne Chmielowskiego należą do *historyi* pedagogii — jak np. rozprawka: „Dziesięć lat z dziejów wychowania w Polsce“ (*Bluszcz*, 1877), streszczająca ważniejsze dzieła pedagogów z XVI wieku, mianowicie: Maryckiego, Modrzewskiego, Herberta Lorichiusa i Glicznera. Autor przychodzi do wniosku, że nie reformacyi zawdzięczamy tylko rozmnożenie szkół, a przyznaje większy wpływ humanizmowi i rozbudzeniu nauk klasycznych. Artykuły w *Encyklopedyi wychowawczej*, podające bogaty materyał przedmiotu, umiejętnie zużytkowany, jak: Leon Borowski, Kazimierz Brodziński, Tadeusz Czacki, Tom. Dziekoński — należą do najlepszych monografij pedagogiczno-literackich, jakie posiadamy. W „Czasopismach dla dzieci“ (*Encyklopedya*, 1884) zaznaczone główne etapy, jakie przechodziła peryodyczna literatura tej gałęzi, zacząwszy od *Rozrywek dla dzieci* Tańskiej, a skończywszy na *Wieczorach rodzinnych* Zaleskiej (1880). Studyum to uwzględnia nietylko wydawnictwa warszawskie, ale także poznańskie i galicyjskie. Artykuł o Elżbiecie (*Encykl.* III, 511—20) jest uzupełnieniem pracy dawniejszej p. t.: „Pierwsza w Polsce książka o wychowaniu“ (*Bluszcz*, 1879, nr 1—5). Mowa tu o dziele łacińskiem rękopiśmiennem, wydanem pod imieniem królowej Elżbiety, żony Kazimierza Jagiellończyka, a traktującem o wychowaniu królewskiego dziecka.

W sprawach społecznych, jeżeli czasem zabierał głos (dawniej w *Przegl. Tygodn.*, w *Niwie* i w *Opiekunie*, dziś bardzo rzadko w *Kuryerze codziennym*, zajmował Chmielowski zawsze stanowisko umiarkowane, skuteczne w pedagogii i w badaniach naukowych, nie wywierające jednak w publicystyce większego wpływu. Dawniejsze artykuły okazują wprawdzie umysł jeszcze niedojrzały, ale jest tam jakieś życie, pewien zapał w przekonaniach, pewna śmiałość w stylu, pewna barwność, czego w późniejszych pracach, wyższych naukowo, daremniebyśmy szukali. Chmielowski posuwa teraz w przekonaniach swoich objektywność aż do przesady, czystość i jasność języka aż do sztywności i bezkrwistości. Pióro jego trzeźwe, spokojne, nigdy nie drży, nigdy nie płonie. To, co powiedział raz o innych, możnaby do niego samego odnieść. Nie przelewa on krwi w swoich artykułach, nie zapala stosów, nie stawia pręgierzów, nie torturuje osobistości, ale też nie da się ubłagać ani łzom sentymentalnym, ani uśmiechom zalotnym, nie ma względu na urząd i powagę, nie robi ustępstw na cześć podłości i służalstwa. (*Opiekun domowy*, 1872, str. 115.) W artykule „Na krańcach“ wystąpił otwarcie przeciw wszelkiej *krańcowości* zarówno szlachetnej, jak i nikczemnej. „Krańcowe — powiada — występowanie w jakimkolwiek kierunku ma tę korzyść, że ludzie lgną do niego, jak żelazo do drugiego żelaza namagnesowanego. Gdy się zużyje siła magnetyczna żelaza, odpadają od siebie z brzękiem. Lecz wogóle ani nauka, ani życie praktyczne nie mogą mieć za podstawę czynników krańcowych.“ „Praca powolna, nie wywieszając jaskrawego szyldu nieomylności i namiętnej zaciekłości, zdobywa grunt prawdy i dobra dla przyszłych pokoleń.“ To umiarkowanie cechuje każdy jego program, niezrywający nigdy zupełnie z przeszłością. I tak np. uważa on dobrobyt materyalny za „naturalną i konieczną podstawę rozwoju umysłowego i społecznego,“ ale „sterem są przewodnie idee wypiastowane przez poezyę, ukochaną przez ludzi“ (*Opiekun domowy*, 1873, nr 24.) W studyach estetycznych, umieszczanych w dawniejszej *Niwie*, jak: „Artyści i artyzm“ (1873, nr 40), „Kremer i Taine“ (1875, 149—196), a jeszcze bardziej, w artykułach filozoficznych: „Metafizyka i pozytywizm“ (*Niwa*, 1876, str. 7 i n.), „Apokalipsa z roku 1789“ (tamże str. 639), „Pierwszy uczeń Comte'a“ (tamże, 1875, VII, 799) widać przejęcie się zasadami uczonych w owym czasie filozofów: Milla, Spencera, Renana, Taina, ale bez własnych oryginalnych dodatków. Bo — jak rzekliśmy — Chmielowski filozofem nie jest.

Za to jego studya nad literaturą polską, zwłaszcza z XIX w. mają wielkie, niezaprzeczone zalety. Pomijam zestawienie przekładów Horacego i Cycerona (w *Bibl. warsz.*, 1870 — 1872), okazujące razem z krytyką przekładów Sofoklesa i Homera (*Ateneum*, 1876, 1877) niepospolitą znajomość filologii klasycznej; pomijam zarys biograficzno-literacki o Goethem, osnuty na podstawie znakomitych odczytów Grimma (*Ateneum*, 1879), rozprawę o Towiańskim i Mickiewiczu (tamże, 1879) opartą na listach i dokumentach wydanych przez syna poety w sprawie towiańszczyzny, a przedmiotem pokrewną szkicowi z ostatnich lat J. Słowackiego (*Ateneum*, 1877). Pomijam mniej udatne, albo prześcignięte nowszemi studyami rozprawki z XVI wieku, jak zestawienie Kochanowskiego z Goszczyńskim w „Sobótce“ (*Tyg. ilustr.*, 1875), ostatnie lata Jana Kochanowskiego (w *Kłosach*, 1885), tudzież szkice z XVII wieku: „Epopeja z czasów saskich“ (*Ateneum*, 1883) i zapomniany poemat W. Potockiego (Wirginia) (*Tyg. ilustr.*, 1881), a uwydatniam znakomite prace monograficzne o naszych powieściopisarzach dawniejszych: Kaczkowskim, Rzewuskim i Krasickim (w *Niwie*, 1876—9), oraz udatne szkice o nowszych: Zacharyasiewicza, Sadowskiej - Zbigniew (w *Opiekunie dom.*, 1873), Czajkowskiego (w *Biesiadzie lit.*, 1876), a szczególnie Jeża (w *Ognisku*). Do najlepszych studyów Chmielowskiego należy: „Liberalizm i obskurantyzm na Litwie“ (*Ateneum*, 1883), gdzie po raz pierwszy przedstawione wyraźnie dwa kierunki rozwoju umysłowego na Litwie w brzasku doby romantycznej (1815—1823), jeden lgnący do filozofii XVIII, to nasz wiek oświecenia, drugi pogrążony w dogmatyzmie i reakcyi. Autor zestawił z wielką trafnością znamienne rysy epoki, ogarnął cały jej ruch społeczny, obyczajowy i umysłowy, czasem tylko usiłuje zbyt skwapliwie podciągnąć wszystkie objawy myśli ówczesnej pod jeden z dwóch wskazanych prądów.

(D. c. n.).

Literatura czeska.

I.

(Wznowienie sporu o autentyczności rękopisów królowodworskiego i zielonogórskiego).

Do jakiego stopnia dochodzić może rozkołysanie namiętności mas z powodu kwestyi literackiej, ten tylko pojmie, kto przez ostatnie tygodnie bawi w Pradze, czyta broszury, artykuły i rozprawy, przysłuchuje się rozmowom i bywa na wykładach publicznych o zabytkach starej czeszczyzny, znanych pod wyżej wypisaną nazwą.

Jakież są przyczyny tak żywego zajęcia się ogółu pytaniem z rzędu takich, które zwykle załatwiają się po cichu, w szczupłem gronie uczonych i specyalistów?

Ta głównie, że wiara w autentyczność pieśni królowodworskich i zielonogórskich zakorzeniła się w Czechach i rozrosła w świadomości ich z całą siłą dogmatu. W ciągu lat siedmdziesięciu, od czasu pojawienia się ich na świat, weszły one w krew i ciało całego narodu: Jungmann każde ich słówko wcielił do wielkiego słownika swojego; Palacki oparł na nich swoje wywody historyczne; nie ma wypisów czeskich, w którychby na pierwszych kartach nie figurowały wyjątki z tych rękopisów; w szkołach uczniowie uczą się ich na pamięć; gramatyka i nowy obszerny słownik czeski Kotta na każdym kroku powołują się na ich formy; sztuki piękne czerpią oddawna z nich natchnienie: posągi, malowidła, dramata, opery wyrosły i bujnie zakwitły na gruncie pieśni owych; imiona ich bohaterów dawane bywają rodzącym się dzieciom, stowarzyszeniom; słowem jak niegdyś Biblia w kierunku re-

ligijnym, tak poczye rękopisów tych we względzie narodowym przesiąkły i przeniknęły w ciągu pół wieku całe społeczeństwo czeskie, zrosły się z wyobraźnią i pamięcią ludu.

Drugą przyczyną niezwykłego rozgłosu i roznamiętnienia toczącej się obecnie walki jest nietaktowne i niewczesne występowanie prasy codziennej. Krzykliwe a szowinistyczne *Národní Listy*, z p. Jul. Grégrem z przodu, a trzydziestu przeszło tysiącami abonentów z tyłu, podniosły spór o rękopisy do potęgi pytania: „być albo nie być," wystawiając wątpiących o ich autentyczności jako przeniewierczych napastników na świętość narodową. Prócz tego wielu niepowołanych uczuło się w obowiazku bronić zagrożonego skarbu wszelkimi sposobami: piosnką satyryczną, połajanką; ba, nawet zanosiło się na jakąś burdę w uniwersytecie przeciwko jednemu z profesorów „napastników;" ale młodzież okazała się rozważniejszą od dwa razy od niej starszych podszczuwaczy.

Zresztą, działo się z tym jak i ze wszystkimi dogmatami na świecie: od chwili stężenia jego w obowiązujący artykuł wiary podnosiły się zuchwałe głosy niedowiarków. Stary Dobrowski umarł w zapachu herezyi. Młodziutki Fejfalík usiłował całą siłą dowodów naukowych i szyderstwa podkopać wiarę w bożyszcze; gdyby wie jak daleceby się mu to udało, gdyby śmierć nie porwała go w kwiecie wieku. Szembera całe życie gorliwym był wyznawcą czci i wiary w świętość rękopisów; ale przed śmiercią zwątpił ostatecznie i umarł heretykiem.

Wszelakoż ogromna większość i to nietylko ogółu, ale literatów i uczonych czeskich nie dała się zachwiać pociskom sceptyków. Całe dziś żyjące pokolenie wyrosło w wierze i miłości ku szanownym zabytkom.

Od lat kilkunastu żaden głos nie ozwał się przeciw. Zdawało się, że sprawa jest ostatecznie i na wieki załatwioną i ustaloną. Ogłoszono niedawno pyszne wydanie rękopisów w wiernej podobiźnie fotograficznej, a najuczeńszy i zarazem najzapalczywszy obrońca ich prawdziwości, profesor M. Hattala rozpoczął drukować próbki obszernej monografii, która z gruntu wykorzenić miała resztki snujących się jeszcze wątpliwości.

W tem uderzył piorun z pogodnego nieba. W ostatnim tomie wielkiej *Encyklopedyi* Erscha i Grubera nadeszła kolej na głoskę, *k*, a z nią na wyraz „Königinhofer Handschrift." W artykule, napisanym poważnie i przedmiotowo, wyrażono pod koniec życzenie, aby, dla stłumienia i usunięcia możebnych wątpliwości, dokonano raz jeszcze chemicznego i paleograficznego zbadania rękopisów. Podpisał się pod artykułem prefesor wszechnicy czeskiej Jan Gebauer, specyalny znawca gramatyki historycznej czeskiej, niezmordowanie pracujący od lat kilkudziesięciu nad ułożeniem wielkiego o niej dzieła, zaszczytnie znany z licznych prac czeskich i niemieckich o tym przedmiocie, a do tego ceniony powszechnie jako człowiek nieposzlakowanej uczciwości i szczerego patryotyzmu. Prawie jednocześnie, w rozprawie „Staročeské sklonení zájmenné" (Staroczeska deklinacya zaimkowa, 1885), uczony ten, wyliczywszy na str. 4—6 ze sto źródeł dawnej czeszczyzny, nie zamieścił w szeregu ich rękopisów w mowie będących, wyrażając się o nich następnie: „Z rękopisów zielonogórskiego i królowodworskiego przykładów nie przytaczam. Język ich, z wielu względów zakrawający na oddzielne narzecze i ukazujący zboczenia od normalnej staroczeszczyzny, zamierzam rozpatrzyć, wraz z innemi ich znamionami, w piśmie oddzielnem."

Słowa te prof. Gebaura podziałały jako bodziec i zachęta na kolegę jego, prof. Masaryka, redaktora *Athenaeum*, miesięcznika krytycznego, o którym dawniej pisałem w *Prawdzie*, wyrażając żal i zazdrość, że równie dobrego w tym kierunku pisma nie posiadamy. Prof. Masaryk, specyalista, filozof, pozytywista, wykształcony przeważnie na wzorach angielskich, obeznany dobrze z Ameryką, gdzie wiele lat spędził, a przytem wysoce tutaj ceniony jako człowiek prawy i dobry patryota, stojący na czele projektowanej kilkudziesięciotomowej encyklopedyi czeskiej, nosił się oddawna z wątpliwościami co do autentyczności zajmujących nas rękopismów i natychmiast otworzył łamy pisma swojego dla wszechstronnej dyskusyi o tym przedmiocie. W zeszytach lutowym i marcowym *Athenaeum* pojawiły się spore rozprawy, które dały pochop do niezmiernie ożywionej kontrowersyi, o której na wstępie wspomniałem.

W listach następnych postaram się przedstawić główne dowody za i przeciw, wejdę w ważniejsze szczegóły sporu i doniosę o dalszym jego przebiegu. Tymczasem, aby scharakteryzować sposób prowadzenia obrony przez niektórych „niepowołanych," podaję parę okazów ich niesumienności i prostactwa.

P. Masaryk ogłosił niedawno dzieło p. t. *Podstawy logiki konkretnej* (Základové konkretné logiky, Praga, 1885); w przedmowie tak się wyraził: „Praca ta przedewszystkiam służyć ma dla studentów za wstęp do odczytów moich i do filozofii wogóle; albowiem, jak to wyłożę na miejscu właściwem, *logika konkretna* jest prawdziwem *organon* filozofii, w Arystotelesowskiem słowa tego rozumieniu." Otóż p. Juliusz Grégr, redaktor *Národních Listów*, w książeczce, złożonej z artykułów swoich, napisanych na obronę rękopisów, tak te wyrazy karykaturuje: „Drugi po Bakonie „doctor mirabilis," wydaje prawidła „filozofii wogóle" i ze wstydliwą skromnością nazywa *dzieło swe prawdziwym organon filozofii*, w Arystotelesowskiem słowa tego rozumieniu." Podkreślone wyrazy wycięśnięto bardzo bujnemi czcionkami. Czytelnik z łatwością dostrzeże, jak tu zręcznie a perfidnie (jak powiadają czesi) pan Grégr podstawił *pana Masaryka* zamiast *logiki wogóle*.

Nie oszczędzono nawet płaskich aluzyj do jego nazwiska. Ten sam p. Grégr, na końcu swej broszury, będącej odwołaniem się do tłumu w sprawie naukowej, przetyka pojedynczymi wyrazami z rękopisów zakwestyonowanych apostrofę: „brońmy skarbów tych od twardego *mięsożernego* dziuba" napastników; jest to aluzya do nazwiska pana M., które, formą polską wyrażone, brzmiałoby *Mięsarzyk* (rzeźniczek). Podobnego płaskiego konceptu pozwala sobie na luźnej kartce ogłoszona „Nowa pieśń o strasz|iwem sfałszowaniu starych pamiątek:"

> Gebaurze i Masarzyku,
> Cóż dziś macie z tego krzyku?
> ...Trzeba panów tych strofować:
> Nie raczcie *masarykować*,
> Co ma we czci każdy czech,
> Bo wam grozi straszny pech" itd.

Niedawno wściekły jakiś niemiec nazwał na sejmie wiedeńskim posła Edwarda Grégra „ulicznikiem królestwa czeskiego;" wywołało to powszechne i słuszne oburzenie. Wątpię czyby się ono objawiło, gdyby ktoś, za przytoczone wyżej figle, uczcił braciszka pana Edwarda i jego kompanię mianem „uliczników dziennikarstwa praskiego."

Jan Karłowicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

I p. Dygasiński! — Wojna trojańska. — Wyraz zrozumiały i zagadki. — Usprawiedliwienie i bajka. — Wał z resztek kuchni literackiej. — Kazanie o powrozach w domu kaźni. — Optymistyczne przypuszczenia. — Z za maski. — O co właściwie chodzi. — Piękne znamię. — Za receptę *Gazecie lekarskiej*. — Rada i zdziwienie.

I p. Dygasiński na tej wojnie trojańskiej, która nie doczeka się swego Homera, ale Offenbacha mieć będzie? No, no, widocznie dzisiaj „gorączka jakaś" puściła wszystkich w „szalony tan." I p. Dygasiński?... tak — i p. Dygasiński. Czemuż nie w puklerzu i hełmie, tylko w jaskrawej kurtce, w zabawnym kołpaczku i z biczykiem? Strój musiał być zastosowany do literackiego karnawału. W takich chwilach należy zrzucić togę, zwłaszcza jeśli się ma pod spodem barwną kurtę i nadzieję odegrania roli Achillesa. A śród achajów, oblegających naszą Troję, nietylko tych, co się już „oburzyli," ale i tych, co się jeszcze „oburzą," p. Dygasiński może być uznany za bohatera. Jakoż mężny ten Achilles, stojąc na rydwanie zaprzężonym w p. Gruszeckiego, włóczy mnie po szpaltach *Wędrowca* i pokrzykuje: „Ho, ho!" Jest to jedyny w całym jego ataku wyraz, który rozumiem. Bo czego szan. mściciel właściwie chce, jakiej ja—według niego— odmówiłem „innej satysfakcyi" owej „bezbronnej kobiecie," która ode mnie żadnej nie żądała i podała skargę do sądu, zanim krytyk *Prawdy* mógł na jej wezwanie odpowiedzieć, co znaczą półsłówkowe odsyłacze do groźnych mężów, którzy w takich wypadkach „daliby sobie radę," oraz podkreślenia pewnych słów, mojej obrony — doprawdy nic a nic nie wiem, chociaż p. D. swoimi artykułami najbardziej kształci ludzką domyślność i to właśnie w kierunku jego intencyj. Może dlatego, że zniechęcony własną niepojętnością dawno te artykuły czytać przestałem? Natomiast: „ho, ho!" przyjmuję — jest to objaw dobrego humoru, przyśpiew do wesołego podskoku, echo zapustne.

Zrzekając się wszakże otwarcia Sezamu tajemniczości i odgadnięcia krytycznej mimiki szan. pedagoga, nie mogę zaniechać próby usprawiedliwienia mu się z tych zarzutów, w których, niby w klatce, świergocze: to jak gdyby jego pretensya, to jak gdyby cudza krzywda. Mianowicie p. D. ze szczególnym zapałem broni upośledzonej przez mnie „miernoty," którą mam „ograniczać," przyczem skromnie spuszcza oczy. Jeżeli istotnie sprawiedliwość tak daleko zawiodła autora *Psychologii* i wielu powiastek, to przypominam mu, że *Prawda* nie „ograniczała" go wcale w twórczości, gdyż ani o jego płodach nie wspominała, ani przeciw uwieńczeniu ich ojca wawrzynem nie zakładała protestu. Jeżeli zaś ta obrona dotyczy wyłącznie p. Zapolskiej, dla której p. D. domaga się przyznania choć małego talentu, pozwolę sobie przytoczyć krótką bajeczkę. Gdyby bajeczkę tę dzieci nasze opowiadziały swym wnukom, te zawołałyby: „Ho, ho!" — my jednak będziemy łatwowierniejsi.

Jest pismo w Warszawie, w którem przyszły etnolog dojrzy podobieństwo do wałów nadmorskich, utworzonych z resztek kuchni człowieka przedhistorycznego. Wszystko tam jest: i kawałek zdrowego mięsa, i zwiędła zielenina, i łupiny z owoców, i pierze, i zgniły kartofel. Najobficiej wszakże osiadła w niem krew porzniętych powieściopisarek, zabijanych tępymi nożami. O jednej z nich, cenionej, krytyk tak się wyraził: „Raz puściwszy się na *Balowe sceny*, p. Hajota tchu złapać nie mo-

że pomiędzy jednym tańcem a drugim, i przerzucając się od polki do walca, od walca do krakowiaka, na „zamówienie" p. A., który „wonną fryzurę przed nią chyli," woła w *Swoim walcu*: „Ach tańczmy! tańczmy!" itd. Autorka pisze:

Siadł — i chłodną dłoń przyłożył do skroni
Cierpi bóle (?) twórczej myśli *poczęcia* (?)
I sam nie wie, *co się z niego wyłoni.*

Otóż krytyk podkreśliwszy z pytajnikami niektóre jej wyrazy, robi uwagę, że bohater „*siadając*, powinien był już wiedzieć, co się z niego wyłonić może." Naturalnie odmówiono wszelkiego talentu p. Hajocie, której fantazya rodzi „dzieci skrofuliczne."

O innej, Konopnickiej, zawyrokowano tamże, że poezyę jej języka „jak miłość kobiety starej, uróżowanej, z podmalowanemi oczami, czuć octem toaletowym." Gdy w swych *Wrażeniach z podróży* napisała, że kobiety kąpiące się w morzu podobne były do tulipanów, nenufarów i fontan tęczowych, krytyk zaznaczył, że „każda nawet najbardziej rozumiejąca się na metaforach a najmniej czuła na konwenanse, uważałaby sobie za żart niewczesny lub obrazę, gdyby narzeczony w zachwycie poetycznym zawołał do niej, że „wytryskiwała w oddali jak fontanna tęczowa," choćby potem na klęczkach się zaklinał, że więcej widział w niej tulipana, aniżeli fontanny. Być może jednak, że wtenczas właśnie myśli p. Konopnickiej „w głąb szły" i nie kontrowały wrażeń." I temu dziełku najznakomitszej poetki polskiej nie przyznano żadnej wartości. Nawet p. Zapolską nazwano tam „romansową."

Wszystkie te pomyki pióra względem „bezbronnych" nie wywołały ani „oburzenia," ani procesu, ani rycerskich wystąpień „w obronie czci niewieściej," przeciwnie — zachęciły i upoważniły do napaści na inny organ który raz ośmielił się zażartować z gorączkowej muzy kobiecej. Tym zaś wałem resztek kuchni literackiej, tem pismem, które podarło prace Hajoty i Konopnickiej ze swawolnemi drwinami i które jednocześnie zamieściło głos skargi na surowe ocenienie przez siebie lekceważonej autorki, tem pismem, które wygwizdując p. Popławskiego, w tym samym numerze wydrukowało jego artykuł — jest *Wędrowiec*. I skąd on poczerpnął do tego odwagę? Tylu ludzi i z takim zamachem mizerna zawiść strąca na niziny, w której nie odbija się najsłabszym odbłyskiem żadna wyższa idea, lecz pełzają tylko pokurczone egoizmy, że wolę być optymistą i przypuścić w p. Dygasińskim nieznajomość taktyki pisma, po którem nas przewlókł. Sądzę, że występując w *Wędrowcu* przeciwko krytycznym powrozom nie wiedział, że rozprawia w domu, w którym na tych powrozach wieszano. Nie ubezpieczywszy się rozwagą, uległ on zarazie literackiej, która wylęgle w procesie mikroby rozszerzyły. Cokolwiek trzymamy o jego zdolnościach, widzieliśmy w nim pisarza uczciwego; z tem przekonaniem nie rozstajemy się nawet dziś, chociaż on opylony kurzem strzepnął go na nas bez powodu i powagi. Może mu się ta impertynencya dziś podobać, ale czy będzie z niej zadowolony, gdy na nią z oddalenia spojrzy? Wątpimy — i tem wątpieniem kończymy przykry z nim rachunek.

Parę słów tylko o mikrobach. Wróżba nasza spełniła się — pozory rozsadzone kłamstwem pękły—maska z wizerunkiem p. Zapolskiej opadła. Odrazu wskazaliśmy, że żadnemu z „obrażonych" o p. Zapolską nie chodzi, lecz o szturm błotem do *Prawdy*. Jest to „zemsta nietoperzów." Przechodziliśmy napaści mocniejsze, kiedy to wraz z całem stronnictwem postępowem staliśmy pod gradem zagranicznych i deszczykiem miejscowych obwinień o nieobywatelskie dążności— więc i ten kapuśniaczek wiosenny przebrniemy. Ale dla utrwalenia przyszłości znamion czasu obecnego, odznaczamy ten fakt rozdawania jadu złości osobistej w pochewkach „dobra ogólnego," tę atmosferę duchową, w której zaroiły się laseczniki a zanikły pierwiastki odżywcze. W r. 1886, w roku nędzy, klęsk, niedoli, zagrożonego bytu pewna część polskich pism zapełnia całe stronice apologiami p. Zapolskiej i wymysłami na redaktora, który zamieścił niepochlebną o jej utworach recenzyę, obelgami dla krytyka, który dopuścił się tej zbrodni — a publiczność ze spokojem przygląda się temu gorszącemu widowisku i nie woła: dosyć skandalu! dosyć kułakowych bójek o wór wiatru! Do Pasteura! Wygląda to jak chorobliwy sen — a jest rzeczywistością, rzeczywistością tej daty, w której nam ogłoszono wyrok zagłady.

W takich to warunkach musi się rozwijać pismo nasze, zmuszone bądź odpierać napaść, bądź oddychać wstrętem. Trzeba tej odrazy przynajmniej wam oszczędzić, czytelnicy. Każdej szczypawki z osobna na szpilkę chwytać nie będziemy i pomówimy o nich dopiero chyba wtedy, gdy wszystkie na wierzch wylezą. Zgarniemy cały ich gatunek.

Jak dalece polemika grasuje obecnie w naszej prasie, przekonywa gwałtowny jej paroksyzm w *Gazecie lekarskiej*. Pismo to, z natury swojej przeciw tego rodzaju przypadłościom odporne, uległo jednak epidemii. Ni mniej, ni więcej tylko chce ono bezpłatnie wyleczyć z „obłędu" fejletonistów, karcących Towarzystwo lekarskie za obojętność względem badań Pasteura. Jakkolwiek korzystałem wiele z bezpłatnej porady doktorskiej, tym razem wszakże za receptę dla *Prawdy* dłużnym być nie mogę. *Gazeta* twierdzi, że Towarzystwo nie ma funduszów dla wysłania kogoś do Pasteura i Kocha, może zaś tymczasem poprzestać na miejscowych „wcale poważnych pracach bakteryologicznych." Właściwie pierwsza wymówka jest zbyteczną, bo skoro u nas odbywają się takie prace i skoro o metodach badania Kocha i Pasteura pisano już całe dzieła, które można nabyć to po co usprawiedliwiać się brakiem funduszów na wycieczkę naukową, a tem bardziej naznaczać konkurs, za który nagroda brak ten zastąpi? Gdyby wszakże *Gazeta* mniemała, że pobyt w pracowniach, urządzonych nakładem, którego nie posiadamy, i prowadzonych przez ludzi, których także nie posiadamy, przyniósłby jednak pewną korzyść, niemożliwą do wydobycia z „dzieł," to pozostalibyśmy w „obłędzie" i dali prostą radę: niech każdy członek Towarzystwa ofiaruje rubla — a zbierze się fundusz na podróż do Kocha, niech ofiaruje drugiego — a będzie zapomoga na wyjazd do Pasteura. Za żadnym „wartogłowem," mającym z takiej wyprawy przynieść Towarzystwu złote runo wiedzy, nie głosowaliśmy, gdyż nie wiedzieliśmy, że wartogłowy do tej instytucyi należą i są jej jedynymi kandydatami do Kocha. A w końcu zdziwienie za zdziwienie nad wywodem pisma lekarskiego, które lekceważy *pracownie* doświadczalne, ceniąc przedewszystkiem *dzieła pisane*. Kto wie, czy nie lepiej być „wartogłowem."

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Zachęta do rozsiedlania się.— Wytrwałość chłopska.— Złudzenia optyczne w łomżyńskiem i redakcyi *Gazety rolniczej*. — Weterynarze miejscy.— Dwa wypadki w Radomiu.

Jak opiekunowie większej własności przyczynę jej upadku widzą jedynie w służebnościach, tak znowu „przyjaciele ludu" zły stan gospodarstw włościańskich przypisują skupianiu się ludności wiejskiej w większe osady. Że przyczyna ta nie jest wyłączną, świadczy chociażby ostatni konkurs gospodarstw chłopskich. Właściciele ich nie utworzyli oddzielnych kolonij i mieszkają po wsiach, a jednak niektórzy z nich doprowadzili gospodarstwa swoje do takiego stanu, iż mogą służyć za przykład starszym braciom. Taki np. Zaremba, którego krowy więcej dają mleka rocznie, aniżeli drogie i drogo żywione holenderki, któremu morg ziemi więcej daje czystego dochodu, aniżeli otrzymać można z tej samej przestrzeni w najlepiej urządzonych majątkach szlacheckich — dostarcza silnego argumentu przeciw mniemanej wyższości cywilizacyjnej i ekonomicznej gospodarstw wielkich. Nie w gromadnem osiedlaniu się włościan szukać należy wyłącznie niskiego stanu kultury ich gospodarstw, ani też w bezwzględnem rozsadnictwie (nowo ukuty termin) widzieć jedyne środki zaradcze. Nie przeczę bynajmniej, że pokrajanie pól w drobne kawałki, lub zbyteczna ich odległość od domów przeszkadza gospodarce dobrej i w takim wypadku trzeba dokonać nowego podziału gruntów lub rozbić je na kolonie. Zaznaczam tylko, że nie należy przesadzać ważności tej sprawy i nie propagować zbyt gorąco rozsadnictwa, bo i skupianie się w większe osady posiada również dobre strony, których lekceważyć nie można. Rozwija ono bowiem poczucie łączności, ułatwia prace zbiorowe, nie mówiąc już o tem, że np. istnienie szkół w naszych warunkach klimatycznych możliwem jest wtedy tylko, kiedy ludność żyje gromadnie po wsiach. Interesy produkcyi nie mogą przecie regulować wszystkich czynności ludzkich

Bardzo dobrze robi *Gazeta świąteczna*, zamieszczając szczegółowe opowiadanie o tem, jak mieszkańcy miasteczka Stanisławowa postanowili podzielić grunty swoje na osady, w jaki sposób to uczynili i jakie stąd mają korzyści. Przykład to bardzo pouczający, bo trudności były wielkie, ziemia rozmaitych gatunków, działki nadzwyczaj drobne itd. Przeszkody usunięto pomyślnie i podział nastąpił; dziś już kilkudziesięciu właścicieli wyniosło się na kolonie. Dodać trzeba, że nie skrzywdzono nikogo i uniknięto wszelkich sporów, przeznaczając pewien, dosyć znaczny obszar ziemi na zaspokojenie w przyszłości możliwych pretensyj. Słowem przykład mieszkańców Stanisławowa zasługuje na uznanie i pochwałę, ale nie należy, jak to czyni *Gazeta*, zachęcać wszystkich włościan do naśladownictwa i zalecać rozchodzenie się na osady, chociażby bowiem gospodarstwo na tem wygrało, inne szkody mogą przeważyć zyski.

Potrzeba zaiste prawdziwie chłopskiej wytrwałości, żeby nawet przy pomocy geometry dokonać sprawiedliwie drobiazgowego oszacowania i podziału gruntów. Chłop polski tą właśnie wytrwałością korzystnie odróżnia się od starszych swoich braci; kiedy myśl jakaś zaświta w jego głowie, doprowadzi ją zawsze do skutku, chociażby ceną niesłychanych poświęceń. O jednym z bohaterów takiej, legendowej niemal cierpliwości opowiada ta sama *Gazeta świąteczna*. W powiecie rawskim, gubernii piotrkowskiej, we wsi Mierznie mieszka włościanin Reszko, człowiek rozsądny i dobry gospodarz. Droga, która prowadzi przez wieś do Rawy, pełna była wybojów i dziur, jak w ogóle drogi polskie, przejezdni woźnice łamali tam nieraz wozy, ciężkie furmanki grzęzły, ludzie przeklinali drogę i mieszkańców wioski. Podobno te przekleństwa wpłynęły na Reszkę, że postanowił złemu zaradzić. Mniejsza zresztą o to, jakie pobudki kierowały nim, dosyć, że odwołał się do sąsiadów, ażeby pomogli mu naprawić drogę, kiedy zaś ci

odmówili mu współudziału, Reszko z żoną i wychowańcem (dzieci nie ma) wzięli się do naprawy. Z początku nawieziono kamieni, gliny i chrustu tylko na sto prętów, ale w miarę postępów roboty energia rosła i dziś już Reszko własnemi siłami przerobił kilka wiorst złej drogi na prawdziwą szosę. Niedosyć na tem, postanowił on poprawić całą drogę i w ten sposób pracować aż do śmierci. Drobny zamiar, ale jakiż to wzniosły przykład żelaznej energii i cierpliwości, jakie cuda stworzyćby mogły te przymioty, zastosowane na szerszą skalę!

Mieszkańcy trzech wiosek w Łomżyńskiem byli świadkami dziwnego zjawiska. Na skraju widnokręgu ukazała się jakby chmura tuż nad ziemią, poza nią widzieć można było niby ogromne stado wilków. Potem wystąpiły tłumy ludzi, którzy rozdzielili się na kilkadziesiąt gromad i zaczęli z sobą walczyć. To złudzenie optyczne trwało około dwóch godzin. Trudno od skromnych czytelników *Gazety świątecznej* wymagać dokładnego opisu, ale objaśnienie zjawiska, jakie daje to pismo, mogłoby być mniej... naiwnem. *Gazeta* tłomaczy poważnie swoim abonentom, że było to odbicie utarczki anglików z birmańczykami, ci ostatni bowiem pędzą na nieprzyjaciela sfory złośliwych psów. Zabawne to objaśnienie powtarzają z powagą niektóre inne pisma — rozumie się — już dla czytelników inteligentnych. Sądzę, że birmańczycy w podobny sposób tłomaczą sobie również złudzenia optyczne.

Należałoby jednak wyjaśnić przyczyny i charakter tych złudzeń, bo np. *Gazeta rolnicza* podlega im dosyć często. Nie mówiąc o tem, że szanownemu organowi ziemiaństwa często dwoi się w oczach, że doświadcza on rozmaitych halucynacyj, w których widzi strachy urojone, ale często wzrok jego, patrząc na jedne przedmioty, dostrzega drugie i odwrotnie. W miarę potrzeby las zmienia się na pole, a pole na las. Polemizując z *Prawdą* z powodu artykułu pt.: „Wnioski ziemiańskie,“ kronikarz *Gazety* zaprzecza, że w większej części majątków służebności zostały uregulowane i pyta o cyfry. Owszem, możemy mu wskazać źródło: *Warsz. Dziewnik*, w którym podane były cyfry urzędowe, ze sprawozdań komisarzów włościańskich. Zresztą jeżeli potrzeba, przytoczymy niektóre. W gub. radomskiej znajduje się 882 majątków ziemskich, zawarto zaś umów o zniesienie szachownic i służebności 709. O tem, że w większości majątków zniesiono serwituty, mówią niektórzy autorowie odpowiedzi, potrzebne cyfry mogła również znaleźć redakcya *Gazety* w Towarzystwie kredytowem ziemskiem. Dotyczy to wogóle służebności, zaś serwituty wspólnego pasania rzadko gdzie już istnieją, temu chyba i kronikarz nie zaprzeczy, chociażby z uwagi na to, że w znacznej większości majątków w kraju istnieje gospodarstwo płodozmienne. Mogła więc być tylko mowa w artykule wyłącznie lub przeważnie o służebnościach leśnych, zniesienie których — powtarzamy — nie należy do najpilniejszych potrzeb rolnictwa. Tymczasem autor polemiki o lasach nic nie mówi, ale szeroko rozprawia o służebności pastwiskowej na polach dworskich, stamtąd zawraca na łąki, zapewne po to, aby znaleźć tam siano i niem się wykręcić.

Czasem znowu pole zmienia się na las. Kiedy *Prawda* pisze przeważnie o szkodnictwie na polach dworskich, bo o nie głównie chodzi autorom odpowiedzi, jak to widać z treści ich wniosków, namiętny kronikarz szeroko rozprawia o zagajnikach. Dodam tu jeszcze, że kiedy mówi się o „kraju,“ to zawsze pamiętać należy, że nie jest on żadną abstrakcyą, ale składa się z 6 milionów chłopów polskich, $1\frac{1}{2}$ miliona ludności miejskiej i kilkudziesięciu tysięcy obywateli ziemskich. Jeżeli więc co korzystnem jest dla 6 milionów chłopów, nie może być szkodliwem dla kraju, chociaż nie przeczę, że najlepszym byłby taki stan rzeczy, któryby zadowolił wszystkich. Organ interesów ziemiańskich winien bronić praw klasy, której służy, ale niech używa właściwszych argumentów. Nie mam zamiaru go uczyć, gdzie ma ich szukać i jakich używać powinien, ale to pewna, że znalazłby ich poddostatkiem, gdyby porzucił zwietrzałe frazesy o dobru kraju. Dziś już nie ma takich naiwnych, którzyby się na ten lep brać dali i nawet przedstawiciele kasty ziemiańskiej coraz otwarciej mówią o interesach własności większej, po prostu o interesach stanowych, nie strojąc ich w piórka dobra ogólnego.

Korespondent płocki porusza projekt ustanowienia posad weterynarzy miejskich. Strach pomyśleć, że bydło, które idzie na rzeź w miastach prowincyonalnych, nie podlega żadnej kontroli. Ileż to chorób powstaje z tego powodu. Jeżeli miasto utrzymuje doktora, felczerów i akuszerki, którzy obowiązani są leczyć chorych, to czy-ż nie należy trzymać również weterynarza, którego działalność w znacznej mierze usunąćby mogła przyczyny? Trudno chyba zaprzeczyć, że racyonalniej jest zabezpieczać mieszkańców od chorób, aniżeli ich później leczyć. Uwaga bardzo prosta i słuszna, ale u nas właśnie takie rozsądne myśli rzadko trafiają do przekonania. Dodać należy, że opłaty ze szlachtuza, jatek i sprzedaży mięsa na rynku pokryłyby wydatki na utrzymanie weterynarzy, którzy dzisiaj z trudnością znajdują odpowiednie zajęcie i czepiać się muszą innych zarobków.

W Radomiu w ubiegłym tygodniu zdarzył się pożar, podczas którego — jak donosi organ miejscowy — zgromadzona ludność zachowywała się zupełnie biernie. Nie poruszyła jej nawet ta okoliczność, że w głębi domu, przywalony belką, umierał w strasznych męczarniach człowiek, który z poświęceniem własnego życia wyratował z ognia kilku śpiących mieszkańców. Nikt nie pospieszył mu z pomocą, nawet straż ogniowa, która zajęta była wówczas wynoszeniem z sąsiedniego domu mebli, należących do jakiegoś miejscowego patrycyusza. Obojętne serca mają ludzie w Radomiu, bo nawet *Gazeta*, która nie pochwala biernego zachowania się ludności, oburza się bardzo delikatnie i nie piętnuje tych, co patrzyli spokojnie, jak kona w męczarniach śmiały młodzieniec i nie podali mu ratunku. Takie czyny wzniosłego bohaterstwa i takiej oburzającej nikczemności przechodzą u nas bez zwrócenia uwagi, zajętej skandalami lub plotkami.

Więcej zapewne interesuje radomian ów dwódziestokilkoletni młodzieniec, który ożeniony z sześćdziesięcioletnią babą, zmusza ją do wspólnego pożycia nietylе z zasady religijnej, że żona winna iść za mężem swoim, ile na mocy odpowiednich artykułów prawa. Powodem tej niezwykłej czułości małżeńskiej było otrzymanie przez staruszkę spadku. Ręczę, że ten skandalik obejdzie łamy wszystkich pism, o bohaterze zaś radomskim i o obojętności tłumu mało kto wspomni. Takie rzeczy nie interesują bowiem naszych publicystów, którzy energicznie zapomocą własnej śliny rozrabiają błoto uliczne, ażeby obrzucić niem tych, co ośmielają się jeszcze zajmować sprawami ogólnemi i nie chcą kąpać się w rynsztokach plotek, intryg i skandalów.

J. Nieborski.

PRASA ROSYJSKA.

Ruskij Kurjer zamieszcza obszerną korespondencyę o stosunkach poznańskich, w której wypowiada wiele słusznych uwag:

„Kierunek, w jakim rozwijają się stosunki ekonomiczne Poznańskiego, bardziej zagraża żywiołowi polskiemu, niż wszystkie kulturkampfy, prawa majowe, wypędzania tłumne. Położenie tym jest tragiczniejsze, że przewódcy polscy w Poznańskiem, otoczeni atmosferą życia politycznego, bez poważnego wykształcenia społecznego, zajęci interesami i obroną ideałów szlacheckich, wcale nie pojmują swojej sytuacyi. Wypadki wymagają ludzi z wielkim talentem i energią; nic tu nie pomoże znajomość dawnych dziejów Polski...“

Wykazując cyframi, że położenie ekonomiczne ludu pogarsza się i sprzedaże osad włościańskich odbywają się coraz częściej, autor dodaje:

„Nie ulega wątpliwości, że proces ten będzie się dalej rozwijał: dość przejrzeć wierzytelności włościańskie. Wierzytelności te obciążają dwie trzecie ogólnej wartości majątku włościańskiego i co rocznie się zwiększają. Brak kredytu taniego, konieczność wprowadzenia ulepszeń gospodarskich, taniość zboża, działy rodzinne i mnóstwo innych przyczyn składa się na to, że chłop przepada. Liczba rozmaitego rodzaju egzekucyj, sprzedaży przymusowych i t. p. wzrasta. Dotąd kupował ziemię brat-chłop; niekiedy szlachcic polak; teraz kupować ją będzie niemiec —wszak ks. Bismark zażądał na ten cel potrzebnych sum. Chłop polski ucieka do Ameryki północnej, do Brazylii, nawet do Australii, a jego ziemię uprawia niemiec. Położenie bez wyjścia chłopów poznańskich równa się wprost germanizacyi, gdyż sprzedaż przymusowa tej ziemi znaczy wywłaszczenie polaków i kolonizacyę niemców. Pod tym względem położenie Poznańskiego jest rozpaczliwem. Jedynym środkiem jest założenie instytucyi kredytu taniego i wogóle usiłowanie poprawienia losu chłopa. Ale przewódcy wielcy nie rozumieją tego; dla nich ważniejszemi są rozprawy w parlamencie, ale oni zapominają, że z upadkiem chłopa runie cały gmach narodowy.“

Dalej mówi autor o wychodztwie polaków do Niemiec.

„Możemy nawet powiedzieć, że polak we wszystkich gałęziach robót ciężkich, wypiera niemca w całem cesarstwie niemieckiem, wszędzie tam, gdzie trzeba potężnych mięśni i pokornego milczenia. Pod tym względem robotnik polski zaczyna w Niemczech odgrywać tę samą rolę, jaką odegrał w swoim czasie w Anglii irlandczyk. Przed kilku laty robotnicy niemieccy tłumnie rzucili się na polaków, których municypalność berlińska sprowadziła do robót miejskich. Zaburzenie rozszerzyło się na kilka ulic, tak, że wojsko musiało poskramiać rozbestwionych niemców. W jesieni te polskie tłumy wracają w znacznie mniejszej liczbie do ojczyzny. Kto bowiem zarobił dużo grosza, ten wcale nie wraca i tonie wkrótce w morzu niemieckiem. Ci zaś, którzy powrócili, przynoszą z sobą do ojczystej wioski nowe pojęcia i poglądy; pewien kosmopolityzm i pogardę dla narodowego ustroju wiejskiego. Zwłaszcza pod tym względem silnie oddziaływa ta okoliczność, że do tej emigracyi chwilowej należy i kobieta. Nie trzeba — zdaje się — mówić, że wszystko to przyczynia się do germanizacyi.

Tym sposobem w Poznańskiem spostrzegamy dwa prądy, w najwyższym stopniu zgubne dla żywiołu polskiego. Z jednej strony chłop ubożeje, a jego ziemia przechodzi w ręce szlachty — dotąd, a na przyszłość w ręce niemieckie. Z drugiej strony ludność robocza opuszcza kraj i jeśli doń wraca, to z mnóstwem nabytków szkodliwych idei narodowej. I wszystko to dzieje się gładko. Żaden z przywódców polskich nie zwrócił na to uwagi. I panowie Stablewscy, Kościelscy i inni będą wołać o prawa 1815 r., dopóki z zadziwieniem nie spostrzegą, że grunt, na którym stał chłop polski — gdzieś przepadł... Cóż wtedy zrobią *patres conscripti* Księstwa Poznańskiego?“

O PRAWDĘ.

(Sprostowanie).

Wyczytawszy w nr. 14 *Prawdy* wyrok sądu ostatecznego pana Hirszbanda nad moją działalnością filozoficzną, nie myślę bynajmniej wystąpić w swej obronie i czemśkolwiek przyczynić się do łaskawszego o mnie zdania pana Hirszbanda. Przekonany jestem, że prędzej czy później znajdą się w tej sprawie sędziowie mniej uprzedzeni, a bardziej kompetentni, którzy dążności filozoficznych nie poddadzą zlekka pod strychulec *ekonomii* i nieodłącznych od niej ciężkich czasów, jak to czyni pan Hirszband.

Tymczasem jednak zmuszony jestem w imię prawdy zaprotestować jak najenergiczniej przeciwko publicznemu spaczeniu zdań i poglądów, wygłaszanych przeze mnie z katedry.

Przykład z butelką, jak i inne „gruszki i pietruszki“ są prostym wytworem bujnej imaginacyi pana Hirszbanda. Krytykując materyalizm, wykazuję, że zwolennicy tej teoryi byliby zdolni wyjaśnić powstanie myśli, ducha tylko wtedy, gdyby już w samej materyi przyjmowali czynniki myślowe. Ale w takim razie konsekwentnie musieliby uznać, że materya i po za mózgiem te czynniki w sobie zawiera; gdyż nie można przypuścić, aby materya, z natury swej bezmyślna, zmieniła w mózgu swą naturę i stała się w nim, wskutek znowu samych tylko procesów materyalnych, *myślącą*. Owe przypisanie zaś materyi czynników myślowych doprowadziłoby jednak do najfantastyczniejszych wyników, bo wtedy należałoby przyznać, że ruch materyi w zwykłych procesach chemicznych, lub nawet poprostu, że ta lub owa substancya materyalna, np. fosfor, zawierają w sobie czynniki myślowe i po za mózgiem.

Oto *moje* rozumowanie, wygłaszane w tym względzie z katedry, a zasadniczo różne od parodyi pana Hirszbanda. W tem rozumowaniu nie ma wcale mowy o „związku“ fosforu z „dzielnością umysłu“ — jak twierdzi pan Hirszband — bo w takim „związku“ umysł już byłby uznany za czynnik *samodzielny*, różny od materyi. W owem rozumowaniu chodzi przeciwnie o proste wykazanie konsekwencyj, wypływających z zaprzeczenia samoistności umysłu, z utożsamienia myśli z materyą (Nie przypominam sobie, gdzie są te znamienne, przez Lançeso cytowane słowa Büchnera, „myśl, duch, dusza *nie jest czemś materyalnem ani samą materyą*, lecz kompleksem różnorodnych sił podniesionym do jedności“ — przyp. N. H.) i jej procesami, a zatem z zasadniczego aksyomatu materyalizmu. Bez szerszych wywodów każdy widzi, że są to rzeczy zupełnie różne.

Mogą się panu Hirszbandowi poglądy moje nie podobać, ale wyrokując o nich z wysokości swego improwizowanego trójnoga, powinien je przynajmniej przedewszystkiem należycie zrozumieć.

Henryk Struve.

(Odpowiedź).

Smutnie to świadczy o duchowym arsenale pana Struvego, jeżeli ucieka się do profesorskiej wyniosłości względem sprawozdawcy. Niedawnego swojego słuchacza nie zaszczyca on nawet bezpośrednim do niego zwróceniem się i tylko w imię prawdy *prostuje* przytoczone przezeń i „niezrozumiane“ przykłady. Ale jak zawsze, tak i w tym razie pozostaje wiernym czci pustych idej i pretensyj, depcząc z olimpijską dumą fakty. Gdzież to bowiem spaczyłem jego natchnione myśli? Wziąłem obdarzony duchem fosfor w butelce za próbkę owego absurdum, do jakiego zdaniem szan. autora prowadzi materyalizm. Toż sam on, jak teraz wyznaje, w wykładzie swym do tego zmierzał! Tylko, że nie podobało mu się pomieszczenie, jakie obrałem fosforowi — co znowu dla mnie było obojętnem; chodziło mi tylko o jaskrawą ilustracyę rozumowania prof. Struvego, i to właśnie rozumowanie postawiłem za główny dowód dziedziny poważnej. Uczony, który rolę pewnej substancyi lub siły w *organicznem* ich skupieniu porównywa ze znaczeniem ich *po za ustrojem*, uczony, który na mocy materyalistycznej tezy, że mózg jest siedliskiem i warsztatem myśli chciałby, dajmy na to, wyjaśnić system Tomasza z Akwinu takiemuż mózgowi, spoczywającemu w słoju napełnionym spirytusem — a w danym razie podobne wnioski wyciąga prof. Struve — byłby blizkim karykatury pomimo gruntownej znajomości ojców kościoła. I jaka jest ogólna podstawa tej jego dyalektyki? Oto: „nie można przypuścić, ażeby materya z natury swej bezmyślna stała się w mózgu w skutek samych tylko procesów materyalnych — myślącą,“ czyli *a contrario*: w mózgu i po za mózgiem musi być tą samą. Dlaczego? śmiem zapytać? Ciekaw jestem, doprawdy, czy prof. Struve zjadłszy głowę szczupaka nabierze jego żarłoczności — przypuszczam że nie, albowiem narząd trawienia p. Struvego nie jest dla materyi i siły mózgu tem otoczeniem, tą *sumą nieskończoną współczynników*, jakie dla niej przedstawia organizm ryby. Doprawdy, słysząc to grube dowodzenie, chciałbym zawołać: *Plus matérialiste que le matérialistes mèmes*!

Wobec tego, pomimo serdecznej mojej pogardy dla materyalizmu, który uważam za młodego junaka, w każdej krytycznej chwili przechodzącego w dualizm i spirytualizm, muszę stanąć w jego obronie. Gdyby materyaliści poczytywali ducha za *prostą własność* materyi, a nie za *sumaryczny wytwór* zawiłej kombinacyi sił — tak, iż otoczenie i współdziałanie innych czynników byłoby zbytecznem — wówczas to fosfor w mózgu i fosfor w owej butelce byłyby równouprawnione. Ale tak nie jest. Nikt jeszcze (a mam na myśli bystrzejszych nieco filozofów) ani w głośnem haśle Moleschotta: „nie masz myśli bez fosforu!“, ani w zdaniach typowego materyalisty Büchnera, „że mózgi wyższych zwierząt przecięciowo więcej zawierają tłuszczu i fosforu“ (*Kraft und Stoff*, wyd. 8, str. 111), albo „że działalność duchowa jest czynnością substancyi mózgowej“ (140 str.) nie dopatrzył baśni powyższej, a prof. Struve chcąc ją przypisać materyalizmowi, dowiódłby głębokiej ignorancyi jego chorążych. Jedno więc z dwojga, albo urąga on logice, albo nie rozumie materyalistów. Dla „profesora filozofii“ każda z tych sytuacyi podrywa jego powagę.

Ostatecznie więc p. Struve, zamiast sprostować moje uwagi, *potwierdził je*, za co serdeczne składam mu dzięki! Jakżeż bowiem inaczej ogół dowiedziałby się o proroctwach, które nasza Pythia metafizyczna wygłasza, a których ku wielkiemu mojemu żalowi nikt dotąd drukiem nie uwiecznił. Przekonałyby one może, czy ja „parodyuję“ p. Struvego, czy p. Struve parodyuje filozofię?

Na zakończenie słówko o ekonomii. „Kto skarżył się na ciężkie czasy i niemożność znalezienia nakładcy dla *Estetyki barw*?“ Chyba nie ja — Jeremiady szan. autora każdy może wyczytać w przedmowie — ciekawych do niej odsyłam, co do siebie zaś zauważę, iż nie miałem na myśli wcale tej ekonomii, która leczy choroby „ciężkich czasów,“ lecz zasady oszczędności w pracy naukowej.

N. Hirszband.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wyjaśnienie. P. Gruszecki, redaktor *Wędrowca*, przyjawszy odemnie odpowiedz na artykuł p. Dygasińskiego, zamieszczony w tem piśmie, w parę dni potem oświadczył, że drukować jej nie może. Ponieważ odpowiedź ta poufnie była przez p. Gruszeckiego zakomunikowaną p. Dygasińskiemu, dla uniknienia więc posądzeń, że cofnąłem ją z własnej woli lub pod naciskiem cudzej groźby, podaję niniejsze wyjaśnienie, nadmieniając, że z prawa obrony mojego honoru względem p. Gruszeckiego skorzystam w inny sposób.

J. L. Popławski.

Znak czasu. *Kur. war.* pisze: „Kilka osób *dobrej woli*, które pisywały dotąd w dziennikach t. z. młodej prasy, występuje z podaniem do władzy o udzielenie im pozwolenia na nowe czasopismo, któreby *godziło ich kierunek z potrzebami kraju.*“ Słodki ten owoc dojrzał zapewne na drzewie procesu naszego z p. Zapolską, które pokryło się kwiatami „dobrej woli“ i wyrosło w „kierunku zgodnym z potrzebami kraju.“ Nowemu organowi może wiele rzeczy zbraknąć, ale ideę ma.

Nowe przepisy o powinności wojskowej przedłużają czas służby czynnej dla osób, które otrzymały wyższe i średnie wykształcenie. Nowe prawo łączy dwie pierwsze kategorye, t. j. tych, co ukończyli uniwersytet i tych, co skończyli 6 klas gimn. — w jedną grupę, dla której termin czynnej służby oznaczono na dwa lata, zamiast 6 miesięcy dla pierwszej i 18 dla drugiej kategoryi, jak było dotychczas. Ochotnicy służyć będą rok, zamiast 3 i 6 miesięcy. Przepisy, dotyczące ulg dla 3 i 4 kategoryi, nie uległy zmianie. Termin służby liczyć się będzie nie od dnia wstąpienia, lecz na zasadzie różnyhc szczegółowych określeń, co poniekąd przedłuża czas oznaczony w ustawie. Osoby pierwszej kategoryi, które zaczęły służbę lub złożyły deklaracyę, nie podlegają nowym przepisom, ale ochotników drugiej kategoryi obowiązuje ono, mogą tylko, jeżeli żądają, poddać się losowaniu, tym zaś, którzy wylosowali, wolno podać się na ochotników.

Zaprzeczenie. *Czas* krakowski przeczy wiadomości podanej przez *Kur. Warsz*, jakoby B. Zaleski umarł w niedostatku.

Szczepienia Pasteura dały dotąd następujący rezultat statystyczny: Do 10 b. m. dokonano szczepień na 730 osobach, z tych 692 było pokąsanych przez psy wściekłe, u 38 przez wilki. Z pierwszych zmarła dotąd 1 dziewczynka (przybyła w 3 tygodnie po ukąszeniu), z drugich — 3. Według statystyki procent śmiertelności w pierwszej grupie wynosi 16, w drugiej —82. Pasteur uważa rodzaj wścieklizny u psa i wilka za jednaki, ale wilk bardziej rani i dlatego szczepienia powinny być przedsięwzięte prędzej.

Cyrkularz. *Prawit. Wiestnik* ogłasza okólnik ministra oświaty do kuratorów okręgów naukowych, przypominający tym ostatnim prawa, z jakich korzystać winni na zasadzie nowej ustawy uniwersyteckiej, oraz wskazujący potrzebę wzajemnego porozumienia z władzami ogólnemi, ponieważ — według ostatnich sprawozdań — propaganda rewolucyjna znowu znajduje przystęp do umysłów młodzieży.

Pożar. Straszny pożar obrócił w perzynę miasto Stryj w Galicyi. Spaliło się przeszło 600 domów i około 100 ludzi. Straty wynoszą z górą 5 milionów złr. Połowa ludności opuściła pogorzelisko, biedniejsi obozują pod gołem niebem. Literaci lwowscy zamierzają wydać jednodniówkę na rzecz pogorzelców.

Udogodnienie. Zarząd poczt i telegrafów ogłasza, że wprowadzone będą t. zw. karty korespondencyjne, złożone z dwóch ćwiartek, opłacanych po 4 kopiejki.

Sprzedaż. Gazety rosyjskie donoszą, że zarząd kolei iwangrodzko-dąbrowskiej połowę akcyj sprzedał bankowi dyskontowemu w Berlinie.

Mianowanie. Profesorem farmakologii na miejsce dra Kryszki mianowany został dr Tumas, profesorem zaś patologii ogólnej i terapii na miejsce dra Łuczkiewicza — dr Łukianow, dotychczasowi docenci akademii wojenno-medycznej.

Zmiana. W instytucie inżynierów dróg i komunikacyj (putiej soobszczenja) przywrócone będą na nowo, zniesione przed kilkoma laty, dwa pierwsze kursy.

Bibliografia. Jan Karłowicz. *O imionach własnych polskich miejsc i ludzi.* Warszawa.

— J. Heilpern. *W sprawie ujednostajnienia znakowania w naukach technicznych.* Warszawa.

— J. Heilpern. *Własności stali służącej do wyrobów szyn.* Warszawa.

— Wydawnictwo Zdrowia. *Jak zabezpieczyć rodzące od chorób połogowych.*

— Józef Bliziński. *Szach i mat*, komedya. Warszawa.

— M Gawalewicz. *Figiel Benwenuta*, komedya. Warszawa.

— H. Nussbaum. *Jakób Izraelewicz*, szkic powieściowy. Warszawa.

— J. Jędrzejewski. *Kosmografia.* Warszawa. (Bibliot. matem.-fizyczna, wydawana z zapomogi Kasy Mianowskiego.)

— *Jak prowadzić gospodarstwa?* — rozprawy odznaczone na konkursie *Gazety rolniczej.* Warszawa.

Skandal. Wierzyciele króla bawarskiego zapozwali go przed sądy i żądają zabezpieczenia swych należności na liście cywilnej.

Kongres oryentalistów, siódmy z rzędu, odbędzie się we wrześniu w Wiedniu. Podzieli się on na 6 sekcyj: aryjską, semicką, wschodnio-azyatycką, egipską,

afrykańską i archeologiczną. Z polaków otrzymało zaproszenie 24 osób.

Polemika. *Nowoje Wremia* pomieściło portrety osób pokąsanych przez wściekłego wilka. Z powodu tego *Nowosti* zrobiły wzmiankę, że w *N. Wremiem* „umieszczone zostały nader udatne wizerunki całego składu redakcyi." Na to *N. Wremia* znów odpowiada: „Niechaj tak będzie! Więc my jesteśmy chłopami smoleńskimi, a współpracownicy *Nowosti* wściekłymi wilkami. Ale zróbmy uwagę, że właściwiej byłoby porównać siebie do innych zwierząt, znanych ze swego niechędóstwa." Ładna polemika!

Szkolnictwo. W gubernii piotrkowskiej w roku 1884/5 znajdowało się 583 zakładów naukowych z 23,282 uczniów i 15,309 uczennic, w tej liczbie katolicy stanowili 73,22%, ewangelicy 19,25%, żydzi 6,29 i prawosławni 1,24%.

Naród źle zabity (Un peuple mal tué). Pod tym tytułem *Rappel* zamieszcza statystykę ludności polskiej w Prusach, określając jej liczbę na 4,800,000, mianowicie w Poznańskiem 1,700,000, Prusach zachodnich i wschodnich 1,600,000 i na Szlązku 1,500,000. Cyfra ta jest przesadzoną, źródła niemieckie nie liczą więcej nad 3 miliony polaków.

Żydzi szynkarze. W Rosyi europejskiej 23% szynków trzymają żydzi, w Królestwie stanowią oni 49,5% szynkarzy, w gub. wołyńskiej 63,8%, podolskiej 72,5%, kijowskiej 79%, kowieńskiej 90, mińskiej 91, mohylewskiej 93, w grodzieńskiej wreszcie 94%.

Konsumcya cukru wynosi w Anglii 77,34 funtów na osobę, w Danii 32,94, Francyi 28,50 f., Szwajcaryi 24,40, Holandyi 21,47, Belgii 18,79, Niemczech — tyleż, nawet w Turcyi nieco więcej niż w Rosyi (8.79 f.) — niżej stoją tylko Włochy, Hiszpania i Portugalia.

Ludność niemiecka w gub. płockiej wynosi 34,000 osób. Niemcy mieszkają w 100 wsiach (29 wyłącznie do nich należy) i posiadają na własność 93,000 morgów ziemi. Oprócz tego 106 rodzin dzierżawi grunta od obywateli lub włościan.

Statystyka. Liczba osób zabitych i rannych przez koleje żelazne wynosiła w r. 1880 zabitych 434, rannych 675, w 1881: 318 i 718, w 1882 — 448 i 717, w 1883 — 439 i 717, w 1884 — 420 i 654.

Zmarli. Zygmunt Komar, b. wychowaniec szkoły głównej, dr filozofii uniw. w Oksfordzie, pisywał artykuły o rzeczach polskich do pism francuskich i niemieckich.

— Wiktor von Scheffel, poeta i powieściopisarz niemiecki. Utwór jego *Der Trompeter von Säckingen* doczekał się 77 wydań.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. S. K. Pr. 2300, o innych nie wiemy.

P. K. Chrząszczewskiemu. Z powodu braku miejsca, replikę pańską zamieścić możemy dopiero w następnym numerze.

P. Stef. Ł. w St. Odebraliśmy — czy zużytkujemy, w tej chwili nie możemy odpowiedzieć stanowczo.

Ogłoszenia.

BIBLIJOTEKI MATEMATYCZNO-FIZYCZNEJ,
wydawanej przez *M. A. Baranieckiego* i *A. Czajewicza* z zapomogi Kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego wyszedł tom

Seryi III. **Kosmografia** *J. Jędrzejewicza* str. 448 drzew. 245 tablic litogr. 9 fotogr. Cena rs. 3 kop. 80.

Dawniej wyszły:
W Seryi I. **Początki arytmetyki** *M. Berkmana*, kop. 65; **Wiadomości początkowe z fizyki** *S. Kramsztyka*, dwie części, kop. 40 i kop. 45; **Wiadomości z geografii fizycznej** *A. W. Witkowskiego*, kop. 45.
W Seryi III. **Arytmetyka**, *M. A. Baranieckiego* rs. 1 kop. 70; **Przecięcia stożkowe** *M. A. Baranieckiego*, kop. 85.
W Seryi IV. **Równania liczebne** *J. Sochockiego*, rs. 2.; **Geometrya analityczna** *W. Zajączkowskiego*, rs. 3.
Skład w księgarni E. Wende i Sp. 1—4

1361
figur kolorowanych zawiera
HISTORYA NATURALNA
HAYEKA
wychodząca zeszytami, po 60 kop.
Zeszyt 10-opuścił prasę.
H. Oławski wydawca. Ś-to. Krzyżka nr. 11.

Szach i Mat
(Karyerowicz)
komedya w 4-ch aktach
Józefa Blizińskiego,
opuściła prasę w oddzielnej odbitce, nakładem Redakcyi „Echa Muzycznego i Teatralnego" i jest do nabycia w Biurze Redakcyi (Senatorska 26) i we wszystkich księgarniach, w cenie **50 kop za egzemplarz.** 2—3

LETNIE MIESZKANIA
w Ostrowie, przy przystanku kolei Terespolskiej Dębe, w suchym lesie sosnowym, w domkach wygodnie urządzonych. Produkty na miejscu, komunikacya z najbliższem miastem stała, z Warszawą częsta. Bliższa wiadomość w sklepie parasolniczym HOFERT SENATORSKA 2. 2—5

Wielki medal srebrny.
LAKIERY i FARBY
polecają
ZAKŁADY PRZEMYSŁ.-CHEMICZNE
W. KARPIŃSKI & W. LEPPERT
w Warszawie, Elektoralna 37.
Cenniki franco i gratis.
4—24

BOLESŁAWA PRUSA
(Aleksandra Głowackiego)
SZKICE i OBRAZKI
tomów 4, z portretem autora

Całość **rs. 5**, każdy tom pojedynczy **rs. 1. kop. 50.**

Tom pierwszy zawiera utwory następujące:
Nowy rok. — Żywy telegraf. — Na wakacyach.— Kocha nie kocha? — Katarynka. — W Górach. — Kamizelka. — Cienie. — Pominięty. — Przeklęte szczęście. — Przy księżycu. — Milknące głosy. — Stara bajka. — Pleśń świata.

Tom drugi:
Orestes i Pylades. — On. — Podwójny człowiek. — Na pograniczu. — Echa muzyczne. — Pan Dudkowski i jego folwark. — Grzechy dzieciństwa.

Tom III: powieść p. t.: „Anielka." (Chybiona powieść).

Tom IV: powieść „Dusze w niewoli."

Przesyłający pieniądze **bezpośrednio** do kantoru Spółki kosztów porta pocztowego nie ponoszą.

SPÓŁKA NAKŁADOWA.
Zielna 7-A.

NIZINY
powieść
Elizy Orzeszkowej
wydanie ozdobne, **z ilustracyami** E. M. Andriollego.
Cena rubel jeden.
Nakład Autorki, do nabycia we wszystkich księgarniach.

W Administracyi **Prawdy** nabyć można:
J. Brandesa
Główne prądy literatury XIX-go wieku.
Tomy: I, II, III po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2, razem rs. 6 (z przesyłką).
Tom V, zawierający Szkołę romantyczną we Francyi, (z wydawnictwa Spółki Nakładowej) rs. 2.

Nakładem **Prawdy** wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN
w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadaną jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałcących ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Treść: Przebiegłość kwiatów.— Ich dyplomacya.— Gra w chowanego.— Obrona nie zaczepka.— Współdziałalność.— Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. **2**; dla abonentów naszych, rs. **1** k. **50.**

Zwracający się z żądaniami bezpośrednio do naszej Administracyi kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

SPÓŁKA NAKŁADOWA wydała studyum etnograficzno-społeczne W. Smoleńskiego p. t.:
DROBNA SZLACHTA
W KRÓLESTWIE POLSKIEM.
Cena kop. 60.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Апрѣля 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.